

**Potocki Leon**  
**DWIE POWIEŚCI**

*POWIEŚĆ Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA*

ROZDZIAŁ I.

MATKA PRZENAJSWIĘTSZA.

Józiu, raz jeszcze powtórz, że ja twoim jedynym kochankiem,  
powtórz, że jedynym  
twoim skarbem!"

"Na kochanka zgoda, ale co do skarbu inaczej się rzeczy mają:  
mam bowiem jeszcze  
inny skarb, jak ciebie."

"To żart!" odpowiedział Paweł Czerec, śmiejąc się."

"Jeżeli mi nie wierzysz, zobacz co w tym koszyku chowam."

"Józiu!" krzyknął Paweł przerażony, zaglądając w koszyk:

"droga Józiu! to złoto

skradzione, z kąd byś ty, biedne dziewczę, do tylu pieniędzy przyszła? Powierz mi ten skarb, podrzucę go potajemnie temu, komuś go wzięła. Józiu! jak mogłaś się dać uwieść czartowi kochając mnie uczciwego chłopca? Drzę cały, może te wróble co na lipie siedzą nas wysłuchały i hańbę naszą po świecie rozgłoszą. Może

w twych warkoczach zatknięte róże, oczy i uszy, może ..."  
"Milcz! kto kocha ten nie posądza." Rzekła Józia dzwoniąc pieniędzmi. "Ten skarb jest mój. Matka Boska mi go darowała. Weź go, wyzwól się na czeladnika, zostań majstrem, ale bądź oszczędnym a nadewszystko nie rób tego szaleństwa, abyś kupował ową czerwoną kamizelę, której tak bardzo pragniesz, ona cię w oczach moich nie upiększy."  
"Józiu! wiesz jak święcie każdemu twemu słowu wierzę, tyś mnie nigdy nie oszukała, ale przysięgam ci, że szeląga z tych pieniędzy się nie dotknę, dopóki mi szczegółowo nie opowiesz, jakąś koleją do nich przyszła. Podobne złoto na Litwie nie znane. Na każdej sztuce obraz Matki Boskiej."  
"To kremnickie dukaty z najczystszej złota." odpowiedziała Józia, a usiadłszy z nim na ławie pod lipą i zrobiwszy znak krzyża świętego, tak do Pawła mówiła.

"Słuchaj mnie z uwagą. Nigdy rodziców moich nie znała.  
Cesarscy żołnierze  
przechodząc przez Galicyę, podrzucili mnie niemowlęciem w  
Tarnowie na rynku w  
sieni kamienicy "pod Opatrznością," która do panny Anieli  
Marylskiej należała.  
Zlitowała się nademną i wzięła mnie do siebie. Niech jej

to Bóg wynagrodzi, ja się jej nie wywdzięczę chyba modlitwą,  
bo już w grobie  
leży."

"Chowała mnie jak własną córkę i żeby nie była w sam dzień  
w Niebo-Wstąpienia  
Matki Przenajświętszej nagle umarła, pewnoby o mnie w  
testamencie nie była  
zapomniała, bo mi nieraz mówiła, że brat jej od wielu lat o nią  
się nie troszczy  
i nie jemu, ale mnie swój majątek zapisze. Miała i inną do  
niego urazę: że  
owdowiawszy córek swoich nie powierzył siostrze, ale  
niemiecką Madamę przyjął, a  
pono nie osobliwą katoliczkę."

"Pan Marylski w górnictwie do znacznego majątku doszedł,  
ale skoro po siostrze  
kamienicę i znaczny kapitał odziedziczył, porzucił wieś i  
osiadł z trzema  
córkami w Tarnowie."

"Na mnie krzywo spoglądał, jednak mnie z domu nie wydzielił i  
używał do posługi  
córek, z których najmłodsza w jednym zemną była wieku.  
Potrzebowały usługi,

byłam służącą: chciały się bawić, byłam ich towarzyszką."  
"W niedzielę, śliczna jak dziś była pogoda, zgromadziły się u  
nas sąsiedzkie  
dzieci, bawiłyśmy się w obszernej sieni, było nas około  
trzydzieści dziewcząt.  
Bronisława, najstarsza córka Marylskiego, której  
obchodziłyśmy urodziny,  
wymyśliła nową zabawę. Każda miała powiedzieć swoje  
nazwisko,

potem ustawiać nas chciała podług porządku w jakim  
następują litery w  
elementarzu. Amsicka ławnika córka, miała być najpierwszą,  
po niej dziewczę,  
której nazwisko się literą B. zaczynało i t. d. — W końcu  
miała komenderować aby  
litera: I. z M., litera: W. z C, lub jak jej do głowy przyjdzie,  
tańczyła. Z  
kolei zapytana o nazwisko mego ojca, nie wiedziałam jak  
odpowiedzieć. Dziewczęta  
na mnie szydersko spojrzały, ja się zarumieniłam aż mnie  
twarz paliła,  
niezgadując czemu zemnie szydzą i czemu się zapłoniam.  
Zaczęłam płakać, a  
starsze dziewczyny szeptały, że ja znajdek, podrzutek i inne  
obelżywe słowa na  
matkę moją plując, których nie rozumiałam. Potem otoczyły  
mnie mówiąc, że nie  
godna bawić się z dziećmi uczciwych rodziców."  
"Rzewnie płakałam, że ja jedna nie mam ojca. Wyszłam z  
domu niewiedząc co robię

i uciekałam prosto do lasu; raz po raz tylko słyszałam głos  
dziewcząt wołający  
za mną: znajdek! podrzutek!"  
"Przeklęte dziewczęta!" przerwał jej Paweł. "Ale strzeż się  
Józiu, żeby się  
ludzie o twojem pochodzeniu nie dowiedzieli, bo starsi mego  
cechu nigdyby mnie  
nie wyzwolili, żebym się ożenił z dziewczyną co ojca nie  
miała."  
"Nie troszcz się o to Pawle! dziś już jestem mędrszą: tu  
przybywszy, ukleiłam  
sobie nazwisko

z imienia mojej dobrodziejki i nazywam się teraz Józefa  
Anieleska."

"Ale gdzież się zatrzymałam w mojem opowiadaniu?... Otóż  
gęstym lasem szłam  
coraz dalej, pełna żalu, nie bacząc na drogę, na gałęzie co  
twarz biły i włosy  
targały, nie słuchając śpiewu ptaków, ciągle tylko płakałam,  
że ja jedna nie mam  
ojca."

"Może parę godzin tak się błąkałam; aż spotykam piękne  
nagie dziecię. Prosiło  
mnie, żebym mu mój fartuszek darowała mówiąc, że mu  
zimno. Wnet żal zamienił się  
w litość. Dałam mu fartuszek biały w niebieskie paski, który  
mi panna Aniela na  
gwiazdkę darowała."

"Za nim przyszło inne dziecię równie piękne, równie nagie i  
prosiło mnie o mój

kontusik, mówiąc, że mu zimno. Oblekłam mu mój niedzielny kontusik."

"Za nim przyszło trzecie dziecię równie piękne, równie nagie i prosiło mnie o

moją spódniczkę, mówiąc, że mu zimno. Oddałam mu moją zieloną spódniczkę."

"Już ciemno było, gdy przyszło czwarte dziecię, równie piękne, równie nagie i

prosiło mnie o moją koszulkę, mówiąc, że mu zimno. Zdjęłam moją koszulkę i

chciałam je nią odziać: w tern ujrzałam przed sobą cudownej piękności panią ze

złotą koroną, odzianą w purpurowe szaty. Wzięła piękne, nagie

dziecię na ręce, które jeden róg mojej koszulki w jednej ręczce trzymało, tak iż

między nim i mną rozpostartą była."

" Księżyc zabłysnął z pomiędzy świerków, a ja widząc krzyż w drugiej ręczce

dziecięcia i oblicze jego ognistą łuną oblane, padłam na kolana i te tylko słowa

wymówić mogłam: "kto jesteś? czy i ty nie masz ojca?"

"Ja jestem twoją matką, on moim boskim synem, odpowiedziała mi ukoronowana

pani."

"Odrzekłam: to wdziej tę koszulkę memu miłemu bratu kiedy mu zimno, ja mu służyć

będę jako wierna służebnica jego."

"Ona na to: Duch Święty natchnął ci te słowa, boć on jest pan twój a syn Boży.

On tobie i wszystkim, których ukochasz, błogosławić będzie!"

"To mówiąc, dała wzniesioną ręką znak gwiazdom, a w rozpostartą koszulkę spadły

z nieba te złote pieniądze z jej świętym obrazem."

"Gdym się schyliła, aby w te jedyne moje odzienie skarb ten zawiązać, znikła ze

ziemi matka i Boskie dziecko, jakby się przed moimi dzięki uchronić chcieli."

"Zostałam na tem samem miejscu, oczy wlepione w niebo, w nadziei, że ich jeszcze

ujrzę."

" I widziałam matkę i syna coraz wyżej w niebo się

wznoszących, otoczonych

świętymi pańskimi, aniołów chórem, widziałam i pannę

Aniele."

"Chmura zakryła oczom moim ten święty obraz. Cicho było w lesie, tylko świerków

iglice wiatrem kołysane, raz po raz "Ave Maria" zmawiały."

"I ja się modliłam; gdym spostrzegła zbliżające się ku mnie światło nie lękałam

się, lubo sowy okropnie krzyczeć zaczęły. Po chwili

rozpoznałam, iż zgrzybiały

starzec z białymi włosami i długą brodą z zapaloną drzazgą w rękę do mnie się

zbliżał."

"Przystąpiwszy do mnie ukląkł, płakał, uściskał mnie, —

zaczął dziwną modlitwę

do matki Boskiej, która mu się we śnie objawić miała,

dziękował, iż jedyne

dziecko które przed trzema dniami był pochował  
zmarłychwstało i ze aż do zgonu  
jego ma przy nim pozostać."

"Nie rozumiałam go, ale ponieważ mnie córką swoją nazywał,  
ja go ojcem  
mianowałam."

" Skończywszy modlitwę, wziął mnie na ręce i zaniósł do  
swojej chaty, o kilka  
stai odległej od miejsca gdzieśmy się spotkali. Tam przy ogniu  
przypatrzywszy mi  
się rzekł: Kasiu, jakieś ty w grobie wyładniała! Czy wszyscy  
serca czystego w  
aniołów się po śmierci zamieniają? Ale mi pokaż coś to  
zawinęła w twoją śmiertelną  
koszulkę!"

"Obejrzawszy mój skarb, mówił dalej: zakopiemy to złoto, bo  
choć stary,  
zapracuje na nasze potrzeby. ale uzbierać posag dla ciebie  
będzie mi trudno, te  
pieniądze będą twoim jedynym majątkiem."

"Znużona i senna położyłam się na jego łożu. które się tylko z  
słomy i wełnianej  
kołdry składało. Zaraz zasnęłam i spałam do rana.  
Obudziwszy się. nie mogłam  
przyjść do siebie, nie pojmowałam co się zemną stało, ale  
przeżegnawszy się,  
wróciła mi pamięć i rozwaga."

"Przy łóżku znalazłam mój fartuszek w niebieskie paski,  
kontusik niedzielny i



spódniczkę zieloną. Skorom się ubrała, przyszedł starzec z lasu. uściskał mnie, przyniósł mi mleka i chleba, a zgadywał jak nieboszczka panna Aniela wszystko, co mi tylko przyjemnym być mogło. Do tego stopnia byłam u niego szczęśliwą, że jedną tylko miałam obawę, żeby pan Marylski mego schronienia nie odkrył i do powrotu do Tarnowa nie zmusił, ale dzięki Bogu. ani jego, ani jego córek nie spotkałam dotąd."

"Pocziwy starzec — którego nazwiska niewiem — był węglarzem, mało zarabiał, ale zem się skrzętnie jego ogrodem i kuchnią trudniła, na niczem nam nie zbywało. Ludzie się dziwili, jaki niesłychany plon miałam z ogrodu, jak mi dobrze krowa doiła i kury niosły. Czegom się dotknęła, wszystko ro-

sło i mnożyło się. — Ale nie pyszniłam się z tego i Temu dziękowałam, który mi błogosławić raczył. Staruszek zaręczał, że nigdy w takim dostatku nie żył jak od dnia, w którym jego droga Kasia zmartwychwstała. Pytał się także, czym się w niebie tak dobrze gospodarzyć nauczyła."

"Pełen słodczy, w dziecinnych moich rozrywkach był mi dziecinnym towarzyszem, w wolnych od pracy godzinach gorliwym nauczycielem: jemu winnam, że na książce

czytać umiem, a jednak ludzie mówili, że on nie spełna  
roзумu. Prawda, że nie  
jedno mówił co nikt nie rozumiał, ale i dziecko tyle rzeczy  
gwarzy dla tego,  
żeby mu słowa w uszach brzmiały, że ja go za równie przy  
zmysłach będącego jak  
siebie samą miała."

"I jemu, jak mojej drogiej pannie Anieli. Bóg nagłą śmierć  
przeznaczył. Jednak  
dnem pierwszej niż skonał miał jeszcze dosyć siły, aby sobie  
grób w ogrodzie  
wykopał obok miejsca, gdzie swoją żonę pochował. "

"Położywszy się w nim nazajutrz, błogosławił mi prosząc,  
abym puchem jego usta  
pokryła, a gdy się ten przestanie przez oddech poruszać, grób  
deską zamkneła i  
ziemią zasypała. Potem kazał mi skarb mój odkopać i w świat  
pójść, zaręczając,  
że

służąc ludziom wiernie i pracowicie. Bóg mnie nie opuści."

"Ostatnie słowa które z ust jego słyszałam, były: Widzę córkę  
moją w niebiosach,  
wyciąga rączki do mnie. Ty nie jesteś moim dzieckiem, tyś  
aniołem zesłanym, aby  
mi ostatnie dni życia osładzać!"

"Chciał mnie raz jeszcze uściskać, lecz mu na siłach zbywało.  
Pocałowałam jego  
zimne usta, ale już nie oddychał. Trzy dni jednak go nie  
odstąpiłam, ciągle  
skubiąc z poduszki puch, który mu na usta kładłam."

"Trzeciej nocy grób zasypałam; wdziałam najlepsze odzienie,  
a skarb odkopawszy,  
starannie go w suknie zaszyłam."

\* \* \*

## ROZDZIAŁ II

### LITWA.

— L'ouragan le plus violent n'altère point les  
atomes colories des ailes du papillon: le moi-  
ndre contacte avec le doigt de l'homme les ef-  
flore à jamais. —

"Poszłam ku najbliższemu miasteczku, gdzie staruszek węgle  
zwykł sprzedawać; ale  
bojąc się szukać służby w bliskości Tarnowa żeby mnie  
Marylscy nie wykryli,  
szłam coraz dalej zebrząc."  
"Nikt też biednej sierocie jałmużny nie odmówił." "Ile  
miesiący ta podróż trwała  
nie wiem. Z nikim nie mówiłam, chyba prosząc o kawałek  
chleba. Ale mylę się,

rozmawiałam z jaskółką która mi ciągle towarzyszyła i tak się  
zemną oswoiła, iż  
lotem znużona, na mojem ramieniu siadała."  
"Jednego wieczora gdyśmy obie w lasku spoczywały,  
przypomniałam sobie, iż mi  
panna Aniela mówiła, iż jaskółki w morzu zimują. Zapytałam  
się mojej  
przyjaciółki czy to prawda. Ona trzepiąc skrzydełkami śmiała  
się zemnie, żem  
temu przesą-

dowi uwierzyła i tak mi jaskółek przygody opowiedziała."  
"My jaskółki nie w morzu, ale w niebie zimujem, tam gdzie  
małe zmarłe dzieci na  
swe matki czekają, nim z niemi we wyższe zastępy nieba  
wstępują. Każde dziecko  
ma swoją jaskółkę, którą na wiosnę do okna matki posyła, aby  
się dowiedziała,  
jak się jej powodzi. Zimą wracamy do dziątek, a każda swemu  
o jego matce co  
słyszała, co widziała, wiernie rozpowiada."  
"Unikając wielkich miast Krakowa, Warszawy i innych,  
zaszłam z nią do Dereczyna  
Sapieżyńskiego, z kąd jaskółka, bo już zimno było, do nieba  
powróciła. Trudne mi  
z nią było rozstanie, ale pocieszyła mnie, przyrzekając, iż  
pannę Anielę i  
pocziwego staruszka odemnie pozdrowi."  
"W Dereczynie księżna kanclerzyna zlitowała się nad sierotą i  
wzięła mnie w

usługi swoje: ale że ni haftować, ni fryzować nie umiałam, w ogrodzie

pracowałam. Byłam do pracy chętna i poczciwa, księstwo, dworzanie i słudzy

wszyscy mnie lubili, a raz po raz żem ładna mówili i to mnie nie gniewało."

"Dobrze mi tam było, bo Sapiehowie na całej Litwie i Koronie od wieków znani, że miłosierni i ludzcy."

"W Wniebowstąpienie matki Boskiej, pozwoliła mi księżna iść do Żurowic na

odpust. W kościele ojców Bazylianów wyspowiadawszy się, wysłuchałam mszy

świętej; i na nieszpór poszłam, ale znużona daleką drogą, klęcząc zasnęłam."

"We śnie objawiła mi się panna Aniela i te słowa wyrzekła: Józiu, nie wracaj do

Dereczyna, bo ksiązę Franciszek z zagranicy do domu powrócił! — Przebudziłam

się: długo rozmyślałam, coby te słowa znaczyć miały, ale w końcu przyuczona z

dziecinnych lat szanować wolę mojej dobrodziejki, mocno przedsięwzięłam, iż do

Dereczyna nie powrócę."

"Tegoż dnia jeszcze zaszłam do Zelwy, tam ludzie powiadali, że ksiązę Franciszek

syn pani kanclerzyny, z Wiednia powrócił, że ślicznej jest urody, że dla

biednych jak ojcowie jego, jest litościwy, ale dla ładnych dziewcząt podobno

bardzo niebezpieczny."

"Pani Zarzecka, sekretarzowa wielkiej pieczęci litewskiej, co  
Hołynkę pod Zelwą  
w dzierzawie trzyma, pozwoliła mi w kuchni przenocować,  
mniemając, iż rano do  
Dereczyna powrócę: ale ja wstawszy przed świtem, nie. ku  
Dereczynowi, ale ku  
Stwołowiczom poszłam."

"Tam kupiwszy wianek, na całym świecie znanych  
Stwołowickich obarżanków i  
pomodliwszy się przed posągiem matki Boskiej, który księżę  
Radzi-

wił Sierotka z Rzymu na plecach na Litwę przyniósł, zaszłam  
w dni kilka do  
Szczorc, gdzie wraz z tobą Pawle w farbierni przez pana  
podkanclerza  
Chreptowicza założonej, ciężko pracuję. Jeżeli jednak zawsze  
trwać będziesz w  
twojej poczciwości i w Bogu zaufanie nie stracisz, to obadwaj  
nie pożałujemy ,  
iż nam dziś w pocie czoła na kawałek chleba zarabiać  
przychodzi."

"Mnie praca zawsze lekką była patrząc na ciebie,"  
odpowiedział Paweł.

"Wiem Pawle, żeś dobry i do mnie przywiązany, szkoda tylko,  
iż tak późno  
rzemiosła twego uczyć się zacząłeś, jeszcze lat kilka upłynie  
nim majstrem  
zostaniesz; i to rai nie na rękę, że tu w Szczorcach tylko na  
czarno się

farbować nauczysz, gdy teraz tyle nowych pięknych barw się  
zjawilo, których nie  
będziesz umiał używać."

"Prawda to, odrzekł Paweł, ale i czarna barwa ma swoje  
zalety, a zwłaszcza  
większą od innych powagę: a z tobą połączony, ubarwiać mi  
będziesz życie w  
tysięczne cudowne kolory, dziś już skoro na ciebie spojrzę  
czerwonym jak  
piwonia."

"Nie mąć mi głowy twemi białoruskimi komplementy, a  
schowaj prędko pieniądze;  
ludzie się do nas zbliżają, jak ty przed chwilą, tak i oni  
mogliby myśleć, iż do  
tego skarbu przyszłam nieuczciwie."

Schował Paweł pieniądze i mówił do Józi: "Drogie dziewczę!  
wielkie mi  
dobrodziejstwo wyświadczasz, ale przysięgam ci na moją  
miłość ku tobie, że  
skarbu tego nigdy na nic innego nie użyję, tylko na to, coś mi  
przykazała."

Józia mu szepnęła: "Otoż czarny Fryc na czele czeladników  
tuz za nami."

Ledwie te słowa wymówiła, a już Paweł na ziemi leżał, z tyłu  
ciężką pałką Fryca  
w głowę rażony.

Fryc krzyknął: "To ty psie białoruski! — wtenczas kiedy my  
w karczmie jak  
czeladzi w niedzielę przystoi, wesolo pijemy, ty do dziewcząt  
koperczaki

stroisz. Hejże na niego bracia!" — Falbierze jemu posłuszni  
jedni Pawła nogami  
deptali, drudzy nielitościwie bili.  
Józia rzuciła się pomiędzy nich, płacząc prosiła, żeby mu  
życie darowali; a może  
okiem, słowem czy ręką Frycowi poznać dała, iż jej nic jest  
obojętnym, Ja tego  
nie wiem, a chociaż bym i wiedział, nigdybym o Józii nic złego  
nie powiedział.  
Dosyć, że się tak Pawłowi zdawało.  
Wnet na rozkaz Fryca napastnicy go odstąpili. Wstał z twarzą  
krwią zalaną, ale  
mniej go rany bolały, jak go zazdrość dręczyła. Ufał on Józii,  
zro-

zumiał, iż dla ocalenia mu życia do Fryca się zbliżyła, a  
jednak w tej chwili  
prawie ją nienawidził. Nie masz na ziemi miłości bez ziarna  
nienawiści. Nie masz  
nienawiści bez ziarna miłości,

\* \* \*

ROZDZIAŁ III.

AMSTERDAM.

— Non propter Jesum sed propter esum. —



Paweł raz jeszcze zwrócił oczy na Józię; rozmawiała  
uśmiechając się z Frycem,  
który gorzko zapłakał i nie oglądając się więcej, wraz  
Szczorce opuścił.  
Pierwszą było myślą jego udać się na Białąruś do Ojca.  
Zważywszy jednak, iżby  
tam nie mógł się mścić z danego Józi przyrzeczenia, bo na  
Białejrusi farbiern  
nic masz, — Bóg tylko tę krainę śniegiem biało, a ledwo parę  
miesięcy w roku  
zielono farbuje — wędrował na Nowogródek, Lidę, Wilno i  
piękne Towiany prosto do  
Rygi.  
W początku podróży stała mu ciągle w oczach Józia,  
uśmiechająca się do Fryca; na  
wileńskiej kalwaryi mniej wyraźnie już obraz Fryca widział, a  
nad brzegiem  
świętej rzeki znikł Fryc, została tylko

Mały zapas pieniędzy który z zasług w Szczorcach oszczędził,  
ledwo mu do Rygi  
wystarczył, a pod żadnym warunkiem niechcąc powierzonego  
sobie przez Józię  
skarbu naruszać, głodny błąkał się w porcie.

Jednego poranka zbliżyło się do niego trzech majtków,  
mówiąc: "Biednie wyglądasz  
a próżnujesz, to nie dobrze; pomóż nam żmudzki len na statki  
ładować, a  
poczęstujemy cię sucharami i słoniną." Chętnie się na to  
Paweł zgodził i dni  
kilka z majtkami pracował, a oni o jego strawie pamiętali.  
Lecz czas nadchodził,  
w którym ich okręt do Amsterdamu miał odpłynąć, smutno  
było Pawłowi ich  
opuszczać, a że i oni się do niego przywiązali, prosił ich, aby  
go z sobą  
zabrali. Majtcy wiedząc, iż niema czem przeprawy zapłacić,  
uznali to za rzecz  
niepodobną; ale że dobrzy ludzie byli z sobą i z innymi często  
o smutnym losie  
Pawła rozmawiali. W końcu doszło i do uszu kapitana okrętu,  
człowieka  
niezgiętego charakteru, ale dobrego serca, że biedny Paweł  
choć bez grosza,  
najgoręcej pragnie Amsterdam zwiedzić, a że go nieraz  
widział skrzętnie majtkom  
pomagającego a nigdy pijanego, kazał go do siebie przywołać  
i przyrzekł mu, iż  
go bezpłatnie z sobą do Holandyi weźmie.  
Wielka była radość Pawła, gdy nazajutrz wstąpił na pokład  
okrętu. Służył jak  
mógł, aby się ka-

pitanowi wywdzięczyć i pracy majtkom oszczędzić: czyścił  
pokład, pomagał

kucharzowi i wszystko co mu polecono chętnie wypełniał.  
Ciagle jednak myślał o  
Józi wyrzucając sobie, że do niej z Rygi nie pisał. "Może  
myśli, mówił do  
siebie, że jak rabuś z jej miłością, z jej skarbem uciekłem,  
nawet nie  
pożegnawszy się z nią i nie pytając, czy pochwała mój zamysł  
udania się do  
Amsterdamu."  
Podróż trwała kilka tygodni. Wszyscy na okręcie polubili  
Pawła, a kapitan tak  
był z niego zadowolniony, iż przybywszy do Amsterdamu,  
darował mu pięć  
czerwonych złotych.  
W mieście kanałami poprudem wszystko Pawła dziwiło,  
wszystko było dla niego  
nowem. Tłumy ludzi wszelkich narodów; służące, kobiety w  
dziwnym stroju, co rano  
kamienice gębką i mydłem jak lalki dzieci swoje myły, okna  
były jak zwierciadła;  
przed każdym korzennym sklepem stał wielki Turek albo  
Murzyn z fajką w gębie z  
drzewa wyciosany, na rogach ulic na wielkim papierze  
malowane były dzikie  
zwierzęta i zamorskie ptaki; wszystko Pawła zachwyciło,  
wszystko z otwartą gębą  
oglądał.  
Na jednym rogu ulicy spostrzegł przyklejony drukowany  
papier, a to w siedmiu  
różnych językach. W sześciu pierwszych, pisanego  
obwieszczenia nie

rozumiał, ale jakaż była jego radość, gdy w siódmej kolumnie po polsku wyczytał:

"Kto za pięć czerwonych złotych chce mieć , cz. zł, niech kupi pod złotym obarzankiem los na loteryą, która dziś w południe przed tymże domem ciągnięta będzie."

Pewnie żadnemu kolektorowi nigdy na myśl nie przyszło, aby się kto znalazł,

któryby to obwieszczenie w tym sensie rozumiał: iż każdy za cz. zł. , cz.

zł. wygra, a jednak nasz poczciwy Paweł tak tę rzecz pojął.

Dziękował Bogu, że go do miasta zawiódł, w którym tak łatwo każdy co ma

czerwonych złotych, do tak wielkiego majątku przyjść może; błogosławił

kapitanowi za jego datek, za pośrednictwem którego bogatym się stanie, bo Józ

piędzy nie byłby naruszył, choćby za nie miliony wygrał.

Skończywszy modlitwę, oglądał się za kamienicą pod złotym obarzankiem, jak na

puszczy pielgrzym za studnią. Ale nie długo szukał. Na przeciwko miejsca gdzie

obwieszczenie przylepione, zoczył wielu ludzi cisnących się do jednego domu, a

nad ich głowami świecił jak księżyc w pełni, ogromny złoty obarzanek.

Szedł za niemi, a z kolei wpuszczony do kasy. kupił los za pięć dukatów,

uniżenie dziękując ko-

lektorowi mocno zadziwionemu za tę wdzięczność, bo zwykle on dziękował tym, którzy u niego losy kupowali, a nie oni jemu. Uderzyło jednak Pawła, że pare kobiet losy kupując, nie brały pierwszych lepszych, ale wybierały z pomiędzy nich, jakby się im jeden od drugiego pewniejszym zdawał: a że mu te panie bardzo rozmowne się zdawały, ośmielił się ich w polskim języku zapytać o nazwisko tego dobrodzieja ubogich. Odpowiedział mu: "Kan nit verstan." Te słowa wziął Paweł za nazwisko mniemanego ojca ubogich i ciągle je powtarzał, lękając się, aby niezapomniał jak się ten szlachetny człowiek zowie. Ze dopiero godzina dziesiąta wybiła, a raczej na dzwonkach melodyjnie wygrywała, przechadzał się więc po rynku, czekając na ciągnięcie loteryi. Doszedłszy do wspaniałego ratusza, zapytał się przechodzącego, do kogo ten piękny pałac należy. Ten mu odpowiedział: "Kan nit verstan." Ucieszyło to Pawła, bo pomyślał sobie, że słusznie jest, aby ten co o ubogich pamięta i o sobie nie zapominał: co pewnie pan Kanitverstan czyni, mieszkając w tak wielkim pałacu. Wtem stanął przed drzwiami ratusza człowiek wysokiego wzrostu, z kapeluszem trzygraniastym na wielkiej peruce osadzonym, suknie miał czerwone bo-

gato złotymi galonami lamowane, w ręku ogromną laskę ze złotą gałą i kutasami.

Dziewczę sprzedające tulipany, zbliżyło się do Pawła, a on nie tracąc chwili,

zapytał się jej o nazwisko tego pana. "Kannit verstan"

odpowiedziała dziewczyna,

śmiejąc się z unieżoności, z jaką Paweł się kłaniał

oddźwiernemu ratuszowemu.

Południe się zbliżało, poszedł więc pod złoty obarzanek.

Wielki już ścisk znalazł przed domem ludzi wszelkich stanów i płci. Rusztowanie

ozdobione było wieńcami kwiatów, a pomiędzy nimi wisiał obraz wystawiający

Fortunę z rogiem obfitości. Paweł myśląc, że to portret pani Kanitverstan z

uszanowaniem zdjął kapelusz; dziwiło go jednak, że tak wielka pani i tak

cnotliwego męża małżonka w tak lekkim stroju malarzowi siedziała.

Na rusztowaniu stało dwóch chłopców z zawiązanymi oczami, z których jeden numera

losów z okrągłego, na swej osi obracającego się pudła, a drugi z podobnegoż

wykaz wygranej lub nie zapisaną karteczkę jednocześnie wyciągali. Każdy patrzył

chciwie na swój los; jedni bledli gdy wraz z ich numerami białe karteczki

wyciągnięto, drudzy klęli opuszczając rusztowanie, inni zniecierpliwieni, że ich

losy

dotąd z pudła nie wyszły, kłócili się i popychali sąsiadów swoich.

Pawła to bardzo gorszyło: pomyślał sobie: coby też na to ten dobry pan

Kanitverstan powiedział, gdyby wiedział, jak ci ludzie mało jego dobroczynność

cenic umiej. Dziwił się także, że z taką niecierpliwością się o swoje ,

czzerwonych złotych napierają, wiedząc, iż z końcem ciągnięcia je każdy dostanie.

Postanowił więc spokojnie i z przyzwoitością czekać, aż kolej na niego

przyjdzie, myśląc o Józi i posilając się resztą sucharów i serem które z okrętu zachował.

W tej chwili wyciągnięto z jednego pudła jego numer ,, a z drugiego wygraną

, czerwonych złotych.

Ogromna wrzawa. Chrześcianie wyrrywają sobie włosy z głowy, a żydzi z bród.

Kobiety przysięgają, że już nigdy na loteryą nie stawiają : po chwili jednak jedna

drugiej opowiada co jej się śniło i naradzają się, jaki numer na przyszłe

ciągnięcie kupić. Najrozsądniejsi pocieszają się, iż może mniejsze wygrane na nich przypadnie.

Paweł tylko chociaż Polak, z holenderską flegmą wyciągnął z zanadrza swój los

wraz z prózną sakiewką, prosząc przełożonego loteryi, aby mu w nią

jego, czerw. zł. wsypał. Rozśmieszyło to urzędnika, bo sakiewka tak była mała, że ledwo sto złotych w nią się zmieścić mogło: prosił więc Pawła aby poczekał, a po wypłaceniu gotówką mniejszych wygranych, wręczył mu weksel na, czerw. zł. do banku amsterdamskiego. Jeden z przełożonych, który dawniej z Rygą i Królewcem handlował, umiając cokolwiek po polsku, obeznał Pawła z wartością tego papieru i nauczył go, jak ma sobie z nim postąpić. Paweł znowu zaczął swe niskie ukłony i dziękczynienia. Bawiło to wszystkich, ale i niejednemu podobała się jego prostota. Schowawszy w sakiewkę weksel, udał się w dalsze ulice szukając samotności, aby mógł swobodniej rozważyć, jakim sposobem Józio o swoim szczęściu doniesie. Marząc o jej radości, błąkał się do wieczora po mieście. Głód zaczął mu dokuczać, ale grosza nie miał przy duszy. Przez kapitana darowane czerwonych złotych wydał na kupienie losu, okruchy sucharów i sera zjadł podczas ciągnięcia loteryi, skarb Józio był dla niego święty i nie naruszalny, a świstek papieru choć na nim, czerw. zł. napisano, głodnego nie nasyci.



Wtem spotkał wielki pogrzeb. Trumnę czarnym aksamitem  
obitą, zdobiły srebrne  
tarcze. Płaczka z cytryną w ręku, poprzedzała długie dwa  
szeregi ludzi odzianych  
w czarne płaszcze, na głowie mieli ze źmudzkich konopi  
potężne peruki białe  
pudrowane. Za trumną jechało wolnym krokiem dwadzieścia  
czarnych karet, a za  
każdą stało dwóch czarnych lokai.  
Paweł zbliżywszy się do jednego z nich, zapytał go o  
nazwisko nieboszczyka,  
którego tak wspaniale chowają. "Kan nit verstan"  
odpowiedział lokaj. Nuż Paweł  
szlochać i wznosić począł ręce do nieba, mówiąc: "Boże  
kiedyś mi nie pozwolił  
memu dobrodziejowi moją wdzięczność wynurzyć, przyjmij  
gorącą modlitwę za duszę  
jego." Dalej mówił do siebie: "dziś rano jeszcze tak czerstwo  
wyglądał, a  
wieczorem już go chowają; może jeszcze żyje tylko w letargu  
leży. Co kraj to  
obyczaj: wszakże i Żydzi u nas trupa w dzień zgonu chowają,  
z resztą tak wielki  
pan jak on, pewnie miał najpierwszych lekarzy Amsterdamu."  
Wszedł z drugimi do kościoła, gdzie po długiej żałobnej  
mowie, trumnę w  
familijnym grobie złożono. Już dłużej niemógł Paweł swego  
głośnego płaczu  
stłumić. Wszystkich przytomnych oczy się na niego zwróciły,  
a syn zmarłego

zbliżył się do

niego i przemówił zrazu po holendersku, a gdy mu Paweł "nie rozumiem"

odpowiedział, czystą polszczyzną prosił go na ucztę

pogrzebową, mówiąc, iż widzi

z łez które wylewa, jak wielki udział w jego stracie bierze.

Paweł chętnie zaproszenie przyjął i na tem się rozmowa w kościele skończyła,

ale syn pochowanego z niecierpliwością czekał chwili w której się . dowie, jak

śmierć jego ojca, znanego w całym Amsterdamie sknery, tak wielki żal w tym

biednym człowieku wzbudzić mogła.

Wsadzono go do czarnej karety, ale jakież było jego zadziwienie, gdy się ta

równie z innemi nie przed pałacem pana Kannitverstan zatrzymała, tylko przed

kamienicą niczem się od innych nie odróżniającą, położoną w jednej z bocznych

ulic. Również go nie mało dziwiło, a nawet gorszyło, że nikt nie płakał, ale

wszyscy wesoło jedli i pili.

Usiadł przy nim syn zmarłego, a synowiec pana Ryxa starosty Piaseczyńskiego i

kamerdynera JMci króla, przy którym się młody Ryx lat kilka bawił. Podając mu

szklankę pontaku i kawał wybornego pasztetu, prosił, aby go obeznał z powodem

tak wielkiego żalu przy pogrzebie ojcowskim.

Chętnie się na to Paweł zgodził. Opowiadał mu swoje przygody, ale gdy wspomniał o darowanych

mu , czerw, zł., zadziwienie pana Ryxa było tak wielkie, iż z razu myślał że albo on sam, albo gość jego do Bonifratrów kandydat. Już zamierzał Pawła pozwać z rejestru de maleficiis, pewny będąc, że Paweł czarownik: bo i najbiedniejszemu nigdy się nie udało, ludzkimi sposobami od nieboszczyka grosz wyprosić.

Jedno go wstrzymało, iż Pawła gościom swoim jako czarnoksiężnika nie przedstawił, to jest, iż ten go zawsze panem Kannitverstan nazywał i pomyślał sobie, jeżeli jak Twardowski djabłu duszę zapisał, toć musi wiedzieć jak się nazywam.

Powiedział mu wreszcie, iż nie Kannitverstan, ale Ryx jest jego nazwisko. —

Paweł mniemał, że Ryx jest imię jego patrona, jakiego świętego holenderskiego lub wcale japońskiego, a może i przydomek, który dodał do swego nazwiska.

Właśnie jak to teraz uczynił szlachcic, ale bardzo nowy hrabia. Beliną się bowiem mianować każe; chcąc uczcić tym ogonkiem, przydanym do swego nazwiska

pamięć harciczki Beliny, faworytki JMci króla pruskiego  
Fryderyka drugiego. Grób  
jej dotąd w Sanssouci podróżnym pokazują i każdemu podług  
upodobania wolno nad  
nim westchnąć lub zaszczezać.  
Paweł w dalszej rozmowie nazywał go hrabią Ryx  
Kannitverstan.

Gdy jednak rozповідаł, jak dziś rano nieboszczyka  
czerstwego z wielką laską  
przed jego pałacem widział, gdy oznaczył miejsce w którym  
mu weksel na ,  
czerw. złotych darowano, zrozumiał pan Ryx rzecz cała i od  
śmiechu się wstrzymać  
nie mógł. Oświecił go, że ta summa nie darowana, ale na  
loteryi wygrana i że ów  
pan z wielką laską oddźwierny ratuszowy, a nie zmarły jego  
ojciec.  
Długo Paweł tego pojąć nie mógł, ale wreszcie dał się  
przekonać.  
Pan Ryx zaś mocniej się jeszcze w swoim mniemaniu  
utwierdził, że Holendrzy  
tylko rozum mają. a ludzie innych narodów głupsi od  
holenderskich śledzi.

\* \* \*

ROZDZIAŁ IV.

## PAŃSTWO VAN DER HOSEN.

— Oranien hoch! —

Paweł Bogu dziękując za opiekę jego, przedsięwziął bezzwłocznie pracą się zająć. Pilnie się także po holendersku uczył, a z pomocą pana Ryxa u którego tymczasowie mieszkał, w kilka tygodni rozumiał już co do niego w tym języku mówiono i jako tako sam się w nim tłumaczyć zaczął. Dowiadywał się na jakim stopniu w Holandyi czarna farbiernia stoi, jakiego kapitału zakład wymaga, ile robotnik kosztuje, zgoła pytał się o wszystkie szczegóły tyczące się swego procederu, araczey sztuki jak go nazywał. Z niemałą także radością usłyszał, iż w Holandyi niemasz cechów i że każdy śmiało naśladować może wszystkie tęczy barwy, bez niczyjego pozwolenia. Niechciał jednak na jedynem zdaniu młodego Ryxa polegać, ale jako prawdziwy Polak, mocno pragnął

poradzić się także prawnika. Żaden bowiem Polak nie wątpi o wszechwiedztwie adwokatów. Wskazano mu doktora obojga praw pana Van der Hosen. najślawniejszego w ówczas adwokata w Amsterdamie. Skoro do mieszkania jego wstąpił, służąca zdjawszy mu wprzód trzewiki, zapytała go o nazwisko i poszła panu swemu o jego przybyciu donieść. "Co kraj to obyczaj," mówił Paweł do siebie, "u nas czapkę, tu trzewikami się kłaniają," a gdy dziewczyna powróciła pytał jej, czyby nie więcej jeszcze pana Van der Hosen uczcił zdjawszy pończochy, ale służąca przerażona, aby w grzeczności swojej jeszcze i czego innego nie zdjął, wytłomaczyła mu, że go jedynie dla tego zezula, jak tu powszechny jest zwyczaj, aby kosztownego malowidła posadzki nie uszkodził. Wprowadziła go do pokoju w którym siedział pan Van der Hosen, z długą gipsową fajką w gębie, na głowie miał jak śnieg białą szlafmycę przepasaną szeroką różową wstążką i w niej zatknięty wysoki żółty tulipan; odziany był szlafrokiem z pąsowego cycu perskiego, na którym drukowane były różnofarbne papugi, może jako stosowne godło jego profesyi.

Narody germańskiego szczepu nie mają innego narodowego stroju, tylko szlafrok i

szlafmycę. Paweł nisko się kłaniał, a adwokat prosząc go  
siedzieć, pytał  
grzecznie ale zimno, w czym rady jego potrzebuje.  
Nasz farbierz jak zwykle każdemu, tak i jemu wszystkie swoje  
przygody od deski  
do deski opowiadał, ale gdy o wygranych, czerw. złotych  
wspomniał, oraz o  
chęci założenia farbierni w Amsterdamie, pan Van der Hosen  
prawie z czułością na  
niego spoglądając zadzwonił i kazał dziewczynie, aby  
gościowi najstarszym  
portorico nałożoną fajkę przyniosła.  
Potem chcąc go swojej rodzinie przedstawić, prowadził Pawła  
przez kuchnię,  
wyłożoną białymi w niebieskie floresy kachlami. Na ścianach  
wisały szklące się  
od czystości miedziane i koprowe misy, kotły i łądła, z szaf  
machoniowych  
wyglądało siła srebra, filogranu, chińskiej porcelany i szkła  
czeskiego. Z kuchni  
weszli do pokoju, w którym siedziała już nie młoda pani, ale  
widać było, że z  
zębem czasu zęb za zęb walczyła, bo wszystkie swoje  
postradała. Siedziała bogato  
ubrana w głębokim krześle, obitem w żółty utrechtcki  
aksamit. W siedzeniu  
ukryte misterne flety dudliły minuety. Nad krzesłem wznosiła  
się jak baldachim  
altana z wijących

się roślin, a na oknach i kominie stały w porcelanowych donicach wszelkich kolorów tulipany, hiacynty, tercety i inne cebulowe kwiaty. Przy pani Van der Hose, stały jej dwie córki w kornetach z brabanckich koronek, starsza na każdym skroniu miała złoty wypukły krąg wielkości miseczki od filiżanki.

Paweł pomyślał sobie, że tę modę wzięto z krakowskich chomontów.

Te damy uprzejmie z nim rozmawiały, mianowicie starsza córka Celesta, już dorosła i piękna panna. Gabryela młodsza jej siostra, już nie dziecko, jeszcze nie panna — kwiat przed rozwinięciem, świt przed wschodem słońca — prawie na Pawła oczu podnieść nie śmiała.

Znowu musiał Paweł swe przygody opowiadać, a wszyscy podziwiali jego szczęście, mianowicie Celesta.

Przywołano krewnych i liczne sąsiedztwo, każdy go w dom swój zapraszał. Paweł wdzięcznie dziękował, ale dnia tego z przywołanemi został na obiedzie u państwa Van der Hose.

Posadzono go u stołu przy Celeście, która mu ciągle wina nalewając, raz po raz mu na nogę nadepnęła. Paweł mówił do siebie: "co kraj to obyczaj, u nas gościowi rękę ścisną, tu go nogą nade-



pną:" ale niechcąc zostać za te grzeczność dłużnym, i on Celestę z całego serca deptał.

Po obiedzie nim była zajęta, fajkę mu zapalała, holenderskie metradiury na szpince wygrywała i hymn narodowy "Oranien hoch!" śpiewała, słowem jakby innych gości nie było, dla niego tylko grzeczną i uprzejmą była.

Gabryela, nikt nic wiedział czemu, z salonu wyszła i już cały wieczór się w nim nie pokazała.

Podczas herbaty zjawił się i pan Ryx. Wszczęła się rozmowa o farbierni, którą

Paweł założyć zamierzał, a gdy gospodarz domu nadmienił, iż tylne zabudowanie posiadłości jego, którego teraz nie potrzebował, do tego zakładu byłoby stosowne: Paweł nie tracąc czasu, poszedł obejrzeć ten budynek.

Znalazł go zupełnie odpowiednim, już go w wyobraźni zapełniał kotłami i kadziami. Tego jeszcze wieczora sporządzono kontrakt dzierżawny.

Celesta nie posiadała się z radości. Ujęło Pawła tem więcej, iż wpatrzywszy się w nią znajdował, że z Józją miała wielkie podobieństwo. Odchodząc do domu odprowadziła go aż na wschody, a tam podając mu rękę, ugryzła go w mały palec.

Paweł pomyślał sobie: "u nas by to nazywano psim a nie panny karesem, ale co kraj to obyczaj."

Wróciwszy do domu Ryxa, zastał go jeszcze pracującego nad inwentarzem spadku ojcowskiego: wspomniawszy iż ma wielki skład sukna i prosił, aby go Paweł jutro obejrzał. Winszował mu, iż w tak bogatym domu, jak pana Van der Hosen uprzejmiem został przyjętym. Nadmienił nawiasem, że córki jego nietylko piękne, ale skromne i dobrze wychowane, Paweł mało na te słowa zważał, bo mu pilno było iść do swego pokoju, aby ten od dnia do dnia odkładany list do Józki napisać. Nie napisał go dotąd z braku przywiązania do niej, ale jedynie, że żadnej nie miał w pisaniu wprawy: zacząwszy ustęp, nim do połowy jego doszedł, zapomniał jak go zaczął i dalej o czym innem pisał. Jednak miłość zwyciężyła i tę trudność. O piątej rano zapisał dwa arkusze najgorętszemi oświadczeniami stałego przywiązania do niej i wiernemi opisami przygód swoich. — Lecz jako skrupulatny historyk jednak wyznać muszę, że synagoga żydów i bachorków, nie mało miejsca na tych dwóch arkuszach zajęła. Teraz zaczął się więcej jak nad pisaniem mozolić, szukając sposobu przesłania listu. Nie chciał go do Szczorc posłać bojąc się, aby nie wpadł w ręce Fryca. Długo myślał i jak to bywa kiedy kto długo myśli: głupstwo wymyślił. O

dziewiątej posta-

nowił posłać go za pośrednictwem ojca swego i do niego napisał załączając mu w podarunku sto czerwonych złotych.

Ubrał się spiesznie i o dziesiątej jak było umówiono, poszedł obejrzeć skład

sukien białych, które Ryxa ojciec od zbankrutowanego liweranta wojsk cesarskich,

za tanie pieniądze przed laty był nabył. Młody Ryx żądał za nie ,

czerwonych złotych. Paweł nocnem pisaniem znużony, na pół śpiący ziewając,

ofiarował , czerwonych złotych. Ryx dobrze wiedział, iż nie prędko znajdzie

innego kupca na tak wielką ilość białego sukna, ze starości już żółkłego,

zgodził się na podaną mu przez Pawła cenę.

Postawy zawieziono do domu Van der Hosena, gdzie Celesta we wynajętem Pawłowi

zabudowaniu, nie wielki, ale schludny, we wszystkie potrzeby zaopatrzony,

kwiatami i jej sylwetą ozdobiony pokój urządziła. Podobała się Pawłowi silueta,

bo była czarna i Józie mu przypominała.

Tegoż dnia jeszcze zakupił kadzie i kotły, również farby, kwasy i inne przyrządy

potrzebne do farbowania na czarno.

Tydzień cały pomagał mularzom, cieślom i bednarzom, jakby całe życie w ich

rzemiosłach pracował.

Po upłynionym tygodniu zaczął ochoczo od rana do wieczora  
z czterema pomocnikami  
sukno farbować: z wielkim żalem Celesty, ręce jego  
wyglądały jak z hebanu  
utoczone.

Przeklinała ona to czarne rzemiosło, ale nie śmiała się z tern  
odezwać, lękając  
się obrazić Pawła, który swoją sztukę nad wszystkie piękne i  
nie piękne sztuki  
cenił.

Całkiem pracy oddany i Józią zajęty, mało miał czasu zważać  
na przymilającą mu  
się Celestę: a z tego wynikło, że mieszkając pod jednym  
dachem, nie więcej się  
do siebie zbliżyli, jak w dniu spotkania się.

\* \* \*

ROZDZIAŁ V.

PRZYGODY PANA GACIŃSKIEGO.

— Tout comprendre ce serait tout pardonner. —

Już wiele sukna Paweł ufarbował, gdy Celesta ojcu swoją miłość wyznała, zapewniając, iż dłużej bez Pawła żyć nie może, Van der Hosen uwiadomiwszy żonę o skłonności Celesty, wszedł niedzielnego poranka do mieszkania Pawła. Pochwalał jego pilność, powierzył mu oraz, iż wielkie ma zmartwienie z powodu Gabryeli, którą do krewnych żony na wieś posłać był przymuszony, aby zdrowie suchotami zagrożone ratowała. Dalej napomknął, jakby Pawłowi żona potrzebną była, aby mu pracę słodziła i wygodą się jego zajęła. Paweł odrzekł, iż żenić się jest jego najgorętszym życzeniem. Van der Hosen chciał dalej mówić, gdy Paweł ściskając go, zawołał: "Patrz na Celesty sylwetkę." "Cieszy mnie to, odpowiedział adwokat, iż już wybór uczyniłeś." "Tak jest, mówił Paweł, śmierć jedna mnie z Józią rozłączy."

"Z Józią? zapytał zdziwiony Van der Hosen. cóż Celesta ma z Józią wspólnego?" Paweł na to: "Podobne do siebie jak siostry, jak dwie krople wody. jak dwa postawy mego czarnego sukna." Adwokat spojrział w górę jakby Boga o przebaczenie błagał, potem ze wstydem

wlepiwszy oczy w ziemię, ponurym głosem zapytał Pawła  
gdzie się Józia rodziła.

"Tego ona sama nie wie, odpowiedział, i serce mi się na to  
krwawi, bo jej tak  
gorzko, że jest sierotą.

"Bóg jest ojcem sierót, rzekł adwokat wzruszony, karze  
niecnych rodziców, co je  
porzucają, ale błogosławi opuszczonym."

Paweł na prośby Van der Hosena, opowiedział mu, że Józia w  
Tarnowie znaleziona,

wychowaną została przez pannę Anielę Marylską i wszystkie  
inne biednej

dziewczyny tyczące się szczegóły.

Adwokat z natężoną uwagą słuchał Pawła, coraz więcej bladł,  
chciał mówić, ale

tylko te słowa wymówić zdołał: "Boże zmiłuj się nademną  
grzesznikiem."

Po długim obydwóch milczeniu wstał, drzwi na klucz  
zamknął i rzekł: "Pawle

przysięgnij, iż nikomu nie wyjawisz tego. co ci powierzę."

Paweł przełknięty ukląkł i przysiągł na Trójce

Przenajświętszą i na miłość do

Józi, że nigdy i nikomu tajemnicy nie odkryje.

Van der Hosen usiadł, łzę otarł i raz jeszcze wymówiwszy:

"Boże zmiłuj się

nademną biednym grzesznikiem! " tak z rozrzewnieniem  
mówił:

"Rodziłem się w górnym Szląsku w Krzyżanowicach, ojciec  
mój nazywał się Hieronim

Gaciński. dawniej sprawował obowiązki skarbnika hrabiego Gaszyna; szlacheckiego rodu ale nie bogaty posiadał futor pod Raciborzem z dwóch włók ziemi złożony. Jego byłem jedynakiem. Matkę już w kolebce straciłem. Ojciec mi mówił, że była dziwnej piękności i bardzo nabożna, a pokrewniona z Rothkirchami, najstarszym domem w Szląsku, jedynymi potomkami Kościeleckich. Umierając, wymogła na mężu przyrzeczenie, iż mnie stanowi duchownemu poświęci. Mało się to wprawdzie zgadzało ze życzeniem ojca, żal mu było, że Gacińscy wygasną, ale że ją kochał i był poczciwy, starał się wszystkimi siłami słowa dotrzymać." "Jak do lat siedmiu doszedłem, opuściliśmy dwór Gaszynów i osiedliśmy na małej ojca posiadłości. On skrzętnie gospodarzył, a ja pilnie z organistą parafialnym siedziałem nad Alwarem. W dziesiątym roku zawiózł mnie do Wrocławia i oddał do szkół

ojców Jezuitów. W niższych klasach byłem pobożny, pracowity i czystych obyczajów; to co ojciec na opędzenie potrzeb przysłał wystarczało i nieraz się z biedniejszym od siebie studentem dzieliłem. Ojciec był zemnie kontent, wiele mi książek kupował; dla siebie zaś coraz był oszczędniejszym, starając się tyle

uzbierać, aby był w stanie po skończonych studiach we Wrocławiu, posłać mnie do Rzymu."

"Przyszłość mi się uśmiechała, polubiłem zawód który mi przeznaczono, ale jakżeż się wszystko zmieniło, gdy mając lat ośmnaście do filozofii dostałem promocją."

"Tam zastałem młodych Rothkirchów, Hatzfeldów, Gaszynów i wielu innych synów znakomitych familij Szląska, z którymi w Krzyżanowicach dzieckiem będąc, nieraz się bawiłem. Nie byli oni pyszni z swego rodu i bogactwa rodziców, bo nie od spanoszonych podstarościch pochodzili. Żyłem z niemi swobodnie na przyjacielskiej stopie, lubili moje towarzystwo, bom był wesoły i nie bez dowcipu, a żadnemu z nich nigdy nie pochlebiałem."

"Po całych nocach z niemi biesiadowałem i w karty grałem. Nie jeden tydzień ławka w klasie próżną stała, kurzawą okryta; cenzor nazwiska nasze wywoływując: "absens" na cenzurze pisał: ale nas to mało obchodziło i ochoczo dalej w lasach, należą-

cych do rodziców moich przyjaciół na jelenia i dzika polowaliśmy, lub na polach zające i lisy szczuli."



"Razu jednego polując w lasach hatzfeldowskich. zaprosił nas na nocleg łowczy książęcy do domu swego, który w gęstej puszczy leżał. Suta kolacją nam zastawił: jedliśmy jak myśliwcy a pili jak niemieccy akademicy. Wino było dobre, ale że ciężki węgierski maślarz i gorące hiszpańskie gatunki nam dawano, głowa mnie mocno boleć zaczęła, a w żyłach już nie krew, ale gorąca smoła płynęła. Wstałem chcąc szukać miejsca, gdziebym się mógł przespać."  
"Nie znałem rozporządzenia domu, a napity błąkałem się z jednej ciemnej izby do drugiej; w trzeciej czy w czwartej, przez otwór w okienicy wykrojony w kształcie serca, księżyc blade rzucał promienie, oglądałem się za miejscem spoczynku, gdy nagle wpadłem na jakieś białe widmo, popchnąłem je całym moim ciężarem, upadło na ziemię. I ja upadłem ... Miałem lat dziewiętnaście.

## ROZDZIAŁ VI.

### DALSZY CIĄG PRZYGÓD PANA GACIŃSKIEGO.

— Die Thräne die wir weinen ist vergebens.  
Nur die wir trocken schafft Licht,

Sie giebt zurück den Sonnenstrahldes Lebens,  
Doch die wir weinen, frommt der Menschheit nicht. —

" Po dziewięciu miesiącach czytałem w gazecie szląskiej  
Bogumiła Korna  
następujące doniesienie:  
"Przedwczoraj łowczy JMci księcia Hatzfelda. przeszył  
kordelasem córkę swoją w  
chwili, w której powiła dziecię płci żeńskiej. Nowo narodzoną  
zaniósł do lasu i  
złożył nikt nie wie w jakim miejscu. Złoczyńca osadzony w  
wieży.  
Trachenberskiej."  
"Ledwom te słowa przeczytał, gdy mnie okropne wyrzuty  
sumienia dręczyć zaczęły:  
żał że ja sprawcą hańby i śmierci biednej dziewczyny, litość  
nad porzuconem  
dzieckiem, myśl że m już nie godny być kapłanem, przeczucie,  
iż postępek mój ojca  
w grób wpędzi, wszystko to tak mną miotало, iż prawie od  
zmysłów odchodząc,  
natychmiast poszedłem do stajni Gaszyna prosząc, żeby mi  
jednego z jego koni

okulbaczono, wsiadłszy nań co koń mógł wybiedz leciałem ku  
Trachenbergowi."

"Koło Pruśnicy spotkałem komendę węgierskich huzarów, co po nad drogą na łące paśli konie. — Było to w czasie siedmioletniej wojny, gdzie raz cesarskie, raz pruskie wojska Szląsk zajmowały. — Huzary wódkę pili przygryzając słoniny. Jeden tylko już podeszłego wieku z siwemi wąsami o podał ich siedział na kolanach małe dziecię kołysając, któremu kroplę po kropli mleko do ust wpuszczał, dolman miał rozpięty, by wypukłe guziki dziecka nie cisnęły, fajki nie palił żeby je dym nie dusił. Wyraz twarzy jego był ten sam, jak w Murylla obrazie wystawiającym świętego Antoniego piastującego Zbawiciela naszego." "Z bijącym sercem zbliżyłem się do niego, zapytując się, czy to jego dziecko?" "Odpowiedział nieprzystając karmić dziecię w płaszcz jego zawinięte: ""Nie moje i moje: nie moje bom matki jego nieznał, moje bom je z paszczy wilka w Trachenberskiej puszczy wyciągnął, a zem wilka zabił, toć pewnie więcej moje jak wilka." Prosiłem go, żeby mi dziecię powierzył, mówiąc, iż mu lepszą dam wygodę jak on, w ciągłym będąc marszu. On na to okropnie po węgiersku kłąć zaczął, potem dodał:

"Kto tobie dał prawo do tego dziecka? czy ty mu życie ocaliłeś? za młody jesteś,

abyś się drugimi opiekował, lepiej byś zrobił, żebyś dla  
siebie we wojsku  
miłościwej cesarzowej a naszego króla, opieki i chleba szukał:  
przystojny  
jesteś, masz konia dobrego , jeśli ci to dziecię miłe, wstąp do  
naszego pułku,  
my huzary wesołe życie pędzimy."

"Do ojca wrócić nie mogłem, bom się czuł być  
niewdzięcznikiem: wprawdzie mniej  
się jego bałem jak cienia matki, której ostatniej wolinie  
szanowałem, już  
niegodnym byłem słowa ewangelii świętej głosić, a potem  
dziecię na mnie tak  
litościwie swe niebieskie oczki zwróciło, żem staremu  
przyrzekł, iż się do  
huzarów jego chorągwi zaciągnę, i wraz mnie też w mundur  
ubrano."

"Nocowaliśmy w Trzebnicy: rano prosiłem huzara, aby  
dziecko do chrztu świętego  
podał, zgodził się na to pod warunkiem, iż nie ja, ale on będzie  
ojcem  
chrzestnym; łzy mi w oczach stanęły, bom dobrze wiedział, iż  
chrzestnym być nie  
mogłem."

"Ksiądz dał dziecku imię Józefa Maria Teresa, pewnie z  
powodu, że wówczas  
cesarscy górę w Szląsku mieli, a cesarzowa była starą, chciał  
więc uczcić  
młodego jej następcę."

"Sztab nasz stał w Tarnowie, podczas długiego marszu huzar  
zazdrosny, mało mi  
pozwalał do Józki

się zbliżyć, tylko w nocy gdy zasnął, złożywszy dziecię w  
żłobie stajni, ja  
potajemnie Józię karmiłem i odzieniem mojem od zimna  
chroniłem. Czerstwa była i  
już do mnie i do swego wybawcy uśmiechać się zaczęła,  
gdyśmy do Tarnowa zašli."

"Tam nasz oddział całkiem służbą zajęty, huzar nie mógł Józi  
wiele czasu  
poświęcać, i ja również nie więcej, bo jako rekrut ciągle na  
maneużu jeździć  
musiałem i w użyciu broni się ćwiczyć. Józia mizerniała, nie  
raz nie miałem jej  
za co mleka i białego chleba kupić; huzar ją zawsze kochał,  
zawsze był  
zazdrosny, ale jak to stary wojak, często przy kieliszku i  
kartach o Józi  
zapominał."

"Cały Tarnów znał wówczas dobroczynność panny Anieli  
Marylskiej, każdy ubogi ją  
błogosławił"

"Dnia jednego przed wschodem słońca wstawszy, huzary  
jeszcze spali, owinąłem  
dziecię w swój mundur, powiesiłem mu na szyi karteczkę,  
napisawszy na niej, że  
mu Józefa imię i wdziałem moje wrocławskie odzienie, potem  
... Boże zmiłuj się  
nademną grzesznikiem, złożyłem Józię w sieni kamienicy  
panny Anieli i wraz do  
Wrocławia uciekłem."

"Tam zwierzyłem się Gaszynowi: wielki brał udział w mojem  
nieszczęściu i że

gorliwy katolik, podzielał moje przekonanie, iż stałem się nie  
godnym stanu  
kapłańskiego. Radził, żebym do ojca powró-

cił, lecz tego na sobie przenieść nie mogłem, napisałem tylko  
do niego, kreśląc  
wierny obraz mojego nieszczęścia i błagając o przebaczenie.  
Nigdy mi nie odpisał  
i przed dwoma dopiero laty w Amsterdamie dowiedziałem się,  
że go Bóg z matką  
moją złączył."

"Zabawiwszy dni kilka we Wrocławiu, udałem się do Lipska.  
Częścią wspomagany  
przez moich szląskich przyjaciół, częścią czerpiąc zasiłek z  
funduszu JMci ks.  
Jabłonowskiego, dla biednych uczniów polskich tamecznego  
uniwersytetu  
przeznacznego, trzy lata z wielką pilnością nie mało  
nauczywszy się,  
przykładałem się do prawa."

"W czwartym roku mego pobytu na uniwersytecie, zacząłem  
praktykować u adwokata  
mającego wiele zagranicznych klientów, którzy tak licznie do  
Lipska na jarmarki  
zjeżdżać zwykli. U niego poznałem kupców amsterdamskich,  
których zawikłany  
proces mój pryncypał z wielką ich korzyścią wygrał: a że  
wiedzieli, że ja główny  
udział w pracy miałem, nietylko mnie chojnie wynagrodzili,  
ale i radzili, żebym

z niemi do Holandyi się udał, przyrzekając, iż mi tam swoje  
tameczne sprawy  
powierzą i innym kupcom moją zdolność zalecić nie  
zaniechają."

"Usłuchałem ich rady, a zamieniwszy moje nazwisko  
Gaciński, które Holendrzy z  
trudnością wy-

mawiali, na Van der Hosen, udałem się do Amsterdamu. "

"W krótkim czasie miałem liczną klientelę i niemały dochód, a  
żyjąc w najlepszym  
towarzystwie i będąc przystojnym, łatwo mi przyszło się  
ożenić z jedynaczką  
kupca bardzo majątnego."

"Drogi Pawle! nie raz myślałem że pokuta i łzy które  
potajemnie nad losem Józki  
wylewałem, grzech mój w oczach Boskich zmazały, ale bojąc  
się świata, żadnego  
dotąd kroku nie zrobiłem, aby się do niej zbliżyć. Tłum  
bowiem w ręce klaszcze,  
gdy się dowie o winie moźnego, a niszcząc się za to, iż dotąd  
szanować go  
musiał, gdy upadnie nogami go depce."

"Ileż to razy chciałem żonie wszystko odkryć, prosić, żeby  
Józkię do domu naszego  
wzięła, ale zawsze wstyd zwyciężył litość."

"Na miłość twoją do mego dziecka zaklinam cię Pawle, nie  
czekając na jej  
odpowieź, powracaj do Szczorc, żeń się z nią, ja za to zem  
przez tyle lat o  
niej nie pamiętałem, chojniej jak inne me córki ją wyposażeń."

Paweł się zamyślił. Niczego więcej na świecie nie pragnął, jak się z Józią połączyć, ale gdy spojrział na kadzie pełne czarnej cieczy i na liczne postawy jeszcze białego sukna, czarny żal opanował serce jego.

Nic nie pomogły prośby i perswazyje adwokata, to tylko na nim wymógł, że skoro cały zapas sukna u czerni, do Józi powróci. Paweł z duszy kochał Józię, ale i namiętnie swoją czarną sztukę.

\* \* \*

## ROZDZIAŁ VII.

### CELESTA.

— Sei die Maria im Geiste. Sei in der Thätigkeit Martha —



Teraz Van der Hosen zaczął rozmyślać, jak żonie a mianowicie Celeście rzecz wystawi: nic lepszego wymyślić nie zdołał, jak im oświadczyć, iż Paweł mu powierzył, że już na Litwie żonaty. Prosił Czerca, aby i on w tym sensie mówił. Zrazu Paweł na to przystać nie chciał, nigdy bowiem jeszcze nie był skłamał, ale w końcu litość nad Celestą, przemogła litość prawdy. Gdy Paweł do sali jadalnej adwokata wstąpił, (w każdą niedzielę był jego gościem), wszystkich zastał zmieszanych, a Van der Hosen mu szepnął: że Celesta dowiedziawszy się, że się z nią żenić nie może, od rozumu odeszła, że od rzeczy mówi i nikomu się pokazać nie może. Paweł z drugimi usiadł do stołu, ale zamiast modlitwy którą przed jedzeniem zwykł był zmawiać, modlił się za Celestę.

Mało kto co jadł, cisza panowała w sali. W tem nagle się drzwi otworzyły i wpadło czarne zjawisko nucając piosnkę Ofeli kochanki Hamleta. Wszyscy się przerażili, mianowicie pani Van der Hosen, widząc że ciecz, którą zjawisko było oblane, ogromne czarne plamy na posadze zostawiało. Paweł najśmielszy wstał, zbliżył się do czarnoksiężniczki i zawołał: "To Celesta!"

"Nieszczęsne dziecko! coś ty zrobiła," rzekła matka, załamując ręce.

Ona na to westchnąwszy odpowiedziała: "Ah! on więcej swoją farbę, jak mnie

kochał, ufarbowałam się na czarno, żeby mu się podobać.

Czym ci teraz milsza?

Okrutny Pawle czemuś ty ranie w każdą niedzielę pod stołem deptał?

Paweł lamentując, że mu Celesta farbę popsuła, leciał do swego zakładu, Celesta

za nim, za Celestą ojciec, za ojcem matka, każąc służebnym dziewczynom, żeby

wodą posadzkę zalewały, nim farba w nią wsiąknie.

Gdy się Paweł przekonał, iż przez czarną kąpiel Celesty farby wprowadzie z kadzi

ubyło, ale że nie zepsuta, zamknął spieszenie na klucz farbiernią i wsadził

Celestę w wannę wodą napełnioną, zostawując płci żeńskiej szczegółowe ablucye,

sam udał się do

kuchni, a ukląkszy gorąco się modlił, aby Bóg siostrę Józii od tej czarnej do

niego namiętności wybawił.

Nazajutrz cały Amsterdam niczem innem nie był zajęty, tylko Van der Hosenami.

Martwiło to Pawła tern więcej, gdy wysłuchał jednego z sąsiadów opowiadającego

wypadek Celesty, który twierdził, że się na niebiesko nie na czarno ufarbowała.

Ublizało to jego czarnej sztuce; i wyrzuty matki, w głowie  
której ciągle owe  
niedzielne deptanie tkwiło, mocno go bolały jako  
niezasłużone, oddawał bowiem  
tylko jej córce grzeczność za grzeczność.  
Celesta dni kilka w ciężkiej leżała malignie, z której  
wyszędłszy, żałowała  
wprawdzie swego szaleństwa, ale równie jak wprzód Pawła  
kochała: wielką on dla  
niej czuł litość, ale Józię tylko kochał.  
W dniu w którym Paweł ostatni postaw farbował, przyszedł  
kuryer z Berlina,  
donosząc o zgonie JMci króla pruskiego Fryderyka drugiego,  
oraz że na pogrzeb  
tego monarchy wielkiej ilości sukna czarnego potrzeba, na  
którem w Berlinie  
zbywało. Żaden kupiec amsterdamski nie miał tak wielkiego  
zapasu jak Paweł; wnet  
zręczne meklery na skład jego jak muchy na cukier się rzuciły,  
ale nasz  
Białorusin nie w ciemię bity, z niczem ich odprawiał, mocno  
postanowiwszy na  
siedem wielkich wozów sukno na-

ładować, sam je w Berlinie spieniężyć, a potem na Litwę się  
udać.

Adwokat dawał mu potajemnie tysiącne zlecenia do Józii, a  
Celesta prosiła go ze  
łzami, aby ją z sobą na Litwę zabrał, mówiąc, że wolałaby w  
ciężkim więzieniu

siedzieć, jak w Amsterdamie pozostać, gdzie w każdej ulicy spotyka dzieci, które szydząc z niej wołają: "patrzcie oto farbowana Celesta!" Przymykała oraz, iż żonie jego służyć będzie, szczęśliwą się czując, byleby tern samem co on oddychała powietrzem. Matka zgadzała się już prawie na jej życzenie, ale Van der Hosen wręcz jej oświadczył, iż nigdy na to nie pozwoli: obawiał się bowiem, aby się jego tajemnica nie wykryła. Celesta pozornie uległa woli ojcowskiej. Czwartego dnia rano po przybyciu kuryera. wozy były naładowane, do każdego zaprzężono cztery wysokiego wzrostu, silne brabanckie konie, wszystkie karej maści, bo je farbierz również z okazji obchodu pogrzebowego w Berlinie ze zyskiem sprzedać zamyślał. Paweł z rozrzewnieniem się żegnał i adwokat był rozczulony; Celesta zdawała się być obojętną, a matka mniej zimną jak w ostatnim czasie. Wieczorem idąc na bitej drodze przy wozach. obrócił się i spostrzegł zbliżającą się ku niemu dziewczynę: była to Celesta. Słowa nie wyrzekła, a rzu-

ciwszy na wóz małe zawinięcie z rzeczami, szła zawsze dwa kroki za nim. lub na innym jak on jechała wozie.

Nie miał serca, aby ją naglić do powrotu w dom rodzicielski,  
ale ją też nie  
pocieszał. W austeryach sypiał on na wozie, ona w izbie, a  
raczej całe noce  
płakała. Biedna dziewczyna, w tem początek swojej  
służebności widziała, iż go  
panem Czereckim nazywała i wszelkiego zbliżenia się do  
niego starannie unikała.  
Słowem stosunek jej do Pawła był ten sam, jak każdej innej  
ubogiej, którąby on z  
miłosierdzia z sobą był zabrał.

\* \* \*

## ROZDZIAŁ VIII.

### ŚWIACKIE I SZCZORCE.

— Alteri vivas, si vis vivere. —

Tak zajechali do Berlina. Paweł z wielką korzyścią sukno i  
konie sprzedał. A że

mu pilno było do Józi, ledwo doczekawszy dnia pogrzebu, w którym prawie cały Berlin i Potsdam w jego sukno był odziany. ruszył z Celestą w drogę na Królewiec ku Litwie.

We wielki Czwartek zajechali do Świacka: chcieli święta tam w austeryi przepędzić, ale pan kasztelan Wołłowicz dowiedziawszy się o ich przybyciu, przysłał bawiącego się w domu swym pana kapitana Fabrycego, prosząc, aby byli gośćmi jego, a że już wiele rodziny i sąsiedztwa się na święta było zjechało, dano Pawłowi przyzwoite mieszkanie w oficynie: Celestą zaś pani kasztelanowej primo voto Matuszewiczowej wielkiej piękności damie, tak bardzo się podobała, iż ją w pałacu blisko siebie umieściła.

Szczerść Pawła wszystkich ujęła, a jego opisy Amsterdamu i holenderskich obyczajów mocno zajmowały. Mianowicie go polubił pan Cywun Żmojdzki brat kasztelana, który także Holandją był zwiedzał, miłe mu było młodych lat wspomnienie.

We wielką Sobotę pojechał Paweł do Teolina. z kądowni wyspowiadał się u JMci księdza proboszcza Dziekońskiego, mocno zafrasowany do pałacu powrócił.

Czemu? nie wiem. Ksiądz Dziekoński wie, ale nikomu nie powierzył tego, co przy spowiedzi usłyszał.

W Niedzielę rano, jeszcze przed rezurekcyą poszedł Paweł na pokoje pana Cywuna; długo z nim konferowawszy prosił, aby mu pani kasztelanowa pozwoliła świąt powinszować.

Znalazł ją wraz z dwoma synkami i Celestą w pięknym salonie, przez sławnego Szmuglewicza malowanym.

Ukłoniwszy się nisko, taką perorę wypalił.

"Na Białejrusi  
Djabieł babę kusi,  
Baba się nie dała,  
Bo dzwon usłyszała.  
Aleluja!

Na Białej rusi  
W ten dzień być musi

Kiełbasa i kopa jaj,  
Bo taki nasz obyczaj.  
Aleluja!

Paweł z Białejrusi  
Więc wam życzyć musi:  
Tobie lat pani przeszło sto.  
Wam animuszu Celesto.  
Aleluja!"

Z potu czoło otarłszy, zmieszany prosił, aby mógł W  
obecności pani  
kasztelanowej, Celeście dwie ważne tajemnice odkryć.  
Chętnie na to pani  
zezwoiła i prosiła go siedzieć.  
Do Celesty obracając mowę, odkrył jej, iż jest siostrą Józii.  
Biedna dziewczyna  
nie posiadała się z radości: śmiała się, płakała, panią  
kasztelanową w ręce  
całowała, a Pawła pytała, czy ją Józia kochać będzie? On  
znając czułe serce  
Józii, śmiało jej zaręczył, iż znajdzie w niej pełną współczucia  
i poświęcenia  
siostrę. Uradowany, iż tak dobrze pierwszą wiadomość  
przyjęła, wyznał, iż  
jeszcze Józii nie ślubował, ale że śmierć tylko jedna może go  
od tego  
postanowienia odwieść. Celesta przyjęła to oświadczenie bez  
najmniejszego  
wzruszenia i tylko o Józii marzyła.  
Po świętach napełnieni święconem i wdzięcznością dla  
państwa Wołłowiczowstwa,  
wyjechali do Szczorc.

Przybywszy tam, wraz poleciał Paweł do farbierni, a  
dowiedziawszy się, iż Józia  
w stawie bieliznę pierze, zamówił dwie izby w austeryi, a  
wziąwszy Celestę z  
sobą, poszedł ku stawu.



Nad brzegiem otoczona chożemi śpiewającymi dziewczętami,  
stała blada Józia, na

głowie miała wieniec z łabuzi uwity, a ręce opuściwszy,  
mówiła do towarzyszek:

"Dziś mi się pewno coś nadzwyczajnego wydarzy, bo mi na  
siłach do pracy zbywa."

Zbliżył się do niej Paweł: nie na rękę mu było, iż nie samą ją  
zastał i

stanąwszy zmieszany przed nią rzekł: "Dzień dobry Józiu! jak  
ci się powodzi?"

Trocheś blada, przecie nie jesteś chorą?" Józia zapłoniwszy  
się odrzekła:

"Szczęść ci Boże! tak prędko z powrotem? Tyś nie zmizerniał:  
ale co to za

blazeński kapelusz, po co ta czerwona kamizela? Mnie dziś  
nie dobrze, tak mi  
ciężko na sercu."

Paweł odpowiedział: "Niech cię mój strój nie gniewa, taka  
holenderska moda," a

zdjąwszy swój kapelusz, wrzucił go do stawu. Jezus. Maria!  
zawołała Józia, co ty

robisz? toć ten pieróg wiele pieniędzy kosztował, jak można  
być podobnym

marnotrawcą, pewnieś pięknie z naszym skarbem gospodarzył  
?" Paweł szepnął jej:

"Twoje pieniądze nienaruszone, odbierz je, bo ja posiadam  
teraz przeszło ,

czerwonych złotych. Na to Józia między bie-

liznę skarb swój schowawszy odpowiedziała: "Toć mnie teraz  
nie potrzebujesz:

widzę, przywiozłeś sobie i kochankę. Niech się wola Boża dzieje."

Gdy dziewczyny odeszły, a oni we trzech zostali. mówił

Paweł: "Józiu nie bądź

okrutną, co ty o mnie myślisz? czyś listu mego nie czytała?"

"Albo ja Pawle pisane czytać umiem? Ojciec mi twój dziwy o twoim wielkim majątku

i o swoim wysokim urodzeniu rozpowiadał. Twierdził, że on nie Czerec, ale

Czerecki się zowie, że z Wielkiejpoli dla pojedynku uciekł i dla schronienia

się na Białejrusi osiadł. Mówił, żeś ty bogatszy od króla

Krezusa, co dawniej w

Smorgonii rezydował. To wszystko zważywszy powiedziałam sobie: Paweł nie dla

mnie, on z rodu i majątku pan, jam biedna sierota."

"Droga Józiu! zawołał Paweł, mój ojciec zwaryował. lub kłamie jak prawdziwy

Wielkopolanin. Znałem mego dziada, był psiarkiem pana Platera wojewody

witebskiego, a nikt na Białejrusi o królu Krezusie nie wie, wszystko to androny.

— ale Józiu! nim przez twoją dla mnie oziębłość zwaryuję, wiedz: zem ci siostrę

z Amsterdamu przywiózł, wraz z listem od twego ojca, z którego się dowiesz o

losie nieboszczki twojej matki."

Józia usiadła na kamieniu, a westchnąwszy powiedziała do siebie.

"Boże! odjąłeś biednemu Pawłowi rozum, nigdy go do zbytku nie miał, niech się dzieje święta wola Twoja."

Po długim milczeniu, ośmieliła się Celesta zbliżyć do Józki i szczegółowo

wszystko co już wiemy, jej opowiedziała.

Józka ściskając Celestę dziękowała niebu, iż ma tak dobrego ojca i tak miłą

siostrę, ale gdy jej ta wyznała swoją gorącą miłość do Pawła i powiedziała, iż

jedynie dla tego z nim na Litwę przybyła aby Józki służyć, bolało to Józki, iż

ktokolwiek mógł o niej pomyśleć, że ona dozwoli, aby jej własna siostra służyć

miała. Potem zapewniając Celestę, że nigdy z jej równą namiętnością Pawła nie

kochała, rzekła: "Ja dla jego szczęścia chciałam być jego żoną, aby miał w domu

uczciwą i rzedną gospodynią."

Celesta obrażona odpowiedziała: "Nim opuściłam mimo wiedzy ojca dom

rodzicielski, przysięgam matce przed Chrystusem

ukrzyżowanym, iż nigdy Paweł

moim mężem nie będzie, inaczej pod żadnym warunkiem nie byłaby mi pozwoliła z

nim podróżować."

Na to Józka: "Ponieważ obiedwie go za męża wziąć nie mogę, ja go dla siebie

samej nie chcę.

Nie traćmy teraz czasu i mówmy o ważniejszych rzeczach, już też pora wieczery nadchodzi, a jeżeli ją na czas nie sporządzę, znowu czarny Fryc hałasu narobi."

"Niech Fryca wezmą wszyscy ..." zawołał Paweł.

"Nie klni, to grzech! przerwała mu Józia i dalej mówiła: już się i kłać nauczył;

nie, my nie dla siebie stworzeni, ja pójdę do kuchni, a ty

Pawle idź do ojca,

mieszka teraz w Koreliczach; on ci opowie, jak wysokiego jesteś rodu."

Paweł odprowadziwszy Celestę do austeryi, szedł spieszenie do Korelicz, dziwiąc

się, że dziś bogatego obie siostry za męża nie chcą, a kiedy był biednym obie go

pragnęły.

Ojca zupełnie zastał zmienionego, ogolił był głowę, porzucił samodział, a ubrał

się w kontusz morderowy z żupanem nankinowym, za przysłane mu przez Pawła

pieniądze wygodnie nowy swój dom urządził. Gdy mu syn wymówki czynił, iż listu

jego Józia zaniechał był oddać, odpowiedział mu, z dumą ręce za pas zatknąwszy:

"Czereccy nigdy nie łączyli się z znajdkami, i herbu tem nie splamili: dopóki ja

żyję wara waszeci o tem głupstwie myśleć: pojedę do

Poznania na kontrakty i

przywiozę asanu familiantkę." Paweł nie wiem czemu, jak czart świeco-

nej wody, okropnie się bał tego związku małżeńskiego z  
poznańską familiantką,  
płakał, prosił, do nóg ojcu upadał, nic nie pomogło, stary  
niczem się nie dał  
zmiękczyć, i groził przekleństwem, jeżeli Józie pojmie za  
żonę. Zmartwiony  
opuścił ojca, który ledwo na to zezwolił, żeby w Warszawie  
farbiernią założył,  
bo jego zdaniem i to Czereckich klejnot plamiło. Dzień  
następujący wszystko  
rozstrzygnął. Dwie siostry z duszy się ukochały i obiecały  
sobie, iż się nigdy  
nie rozłączą. Obie postanowiły zająć się wspólnie domem  
Pawła i przysięgły, iż  
żadna z nich, aby w drugiej zazdrości nie wzbudzić, za niego  
nie pójdzie. Dalej  
zamierzyły dać mu za żonę Gabryelę o której Celesta Józia  
powiadała, iż śliczną  
ze wsi powróciła, ale ciągle Pawła unikając, on jej krom dnia  
w którym raz  
pierwszy rodziców nawiedził, nigdy nie spotkał. Józia  
uwolniła się od obowiązków  
służebnych. Czarnego Fryca zamknięto do turmy, bo głośno  
się odgrażał, że Pawła  
zamorduje. Wysiedziawszy swoją karę. opuścił Szczorce i  
udał się do Warszawy,  
gdzie ciągle Pawła szpiegując, czychał na sposobność  
odebrania mu życia.

## ROZDZIAŁ XL

## WARSZAWA I ROKOTÓW

— Unscr Herrgott lässt wohl sinken,  
Aber loch nicht gar ertrinken. —

Po kilku dniach opatrzone w list rekomendacyjny pana podkanclerza Chreptowicza do syna jego Adama, który w Warszawie posłował; niemniej do starosty Piaseczyńskiego od młodego Ryxa z Amsterdamu do Szczorc nadesłany, pojechał Paweł z obiema siostrami do Warszawy. Kupił na elektoralnej ulicy kamienicę z dużym podwórzem i obszernymi tylnymi budynkami, tę samą, którą teraz państwo Dziewanowscy z Działynia zamieszkują. Farbiernię urządził w sposób amsterdamski, a mając zawsze grosz gotowy, zaczął z liczną czeladzią i z wielkim zyskiem do rana do wieczora farbować. Siostry mu dom urządziły, Celesta z holenderską czystością, Józia z polską wygodą, oszczędnie ale wygodnie i przyzwoicie.

Podle jego kamienicy mieszkał podówczas ksiądz opat  
Sokolnicki, jak to mówią  
prałat światowy; który chociaż tego podobno kanony bronią,  
pozwał sobie być  
garbatym, a raczej jak nie dawno na jednym paszporcie  
czytałem, łopatkodurnym.  
Spostrzegł Celeste, a ze mu się bardzo spodobała, kupował nie  
raz czarne sukno u  
Pawła, nie na rewerendę, bo tej nie nosił, ale na francuzki  
strój. Coraz  
częściej przychodził, aż się stał powiernikiem Pawła, a sióstr  
nauczycielem w  
polorze światowym.  
Honni soit qui mal y pense.  
Zwierzył mu się Paweł ze swego do Józi przywiązania i prosił,  
aby ją nakłonił do  
oddania mu ręki. lecz na niczem się skończyły zabiegi księdza  
opata. Józia  
odpowiedziała, że od czasu w którym znalazła w siostrze swej  
tak miłą  
towarzyszkę, najmniejszego już powołania nie czuje do stanu  
małżeńskiego. Tem  
rozdrażniony Paweł, prosił ją, aby mu Celestę raiła. z całego  
serca mu to  
przyrzekła. Nalegała na nią, perswadowała, wyliczała  
wszystkie przymioty Pawła,  
ale wszystko to na próżno, Celesta odpowiedziała: iż doszła  
do przekonania, iż  
jej miłość tylko szaleńcem była, prosiła Pawła, aby się nie starał  
tej namiętności  
w niej na nowo obudzać, radząc, aby Gabryelę za żonę pojął,  
która tak przez

wdzięki, jak przez najszlachetniejsze uczucia swoje  
uszcześliwić go zdoła.

Paweł o tem i słyszeć nie chciał, nie znając prawie Gabryeli.  
Po obudwóch sióstr  
odmownej odpowiedzi, albo koszyku — jak w poznańskim z  
niemiecka mówią —  
pracował wprawdzie równie pilnie jak wprzód, ale unikając  
wszelkiego  
poufalszego zbliżenia się do sióstr, żadnej nie mając rozrywki,  
co dzień był  
smutniejszym: już mu nawet i czernina jego ulubiona potrawa  
kością w gardle  
stała, a niejedną tajemną łąz czarną farbę w kadzi roztwarzał  
Czuł, że go Bóg na  
ten świat zesłał, aby kochał i był kochany, ale żadnej innej  
dziewczyny tylko  
Józie kochając, rozpaczał i nie widział sposobu jak ma żonę  
dostać. W tym stanie  
lat dwa przepędził.  
Nieraz czuł chęć Warszawę wraz z farbiernią porzucić, a  
siostrom majątek swój  
zostawiwszy, iść we świat ubogi i nieznany szukać serca,  
któreby go ukochało.  
Gdy trzecia wiosna od przybycia jego do stolicy śniegi topiła,  
i umajała  
mazowieckie lasy i pola. poszedł Paweł dnia jednego do  
Nieborowa, gdzie z  
Trębickich księżna Radziwiłłowa, stolnikowa litewska właśnie  
była umarła, aby



się ugodzić o cenę znacznej ilości sukna, potrzebnego na obchód żałobny tej pani. Pieszko zwykle małe podróże odbywał, lubo miał powóz i dwa dobre konie. Nie umiał w powozie siedzieć. i zdarzało się nieraz, że zapomniawszy o swo-

ich krocjach, chciał na kozieł wskoczyć, lub stanąć za powozem. Siostry bo kobiety, były pojętniejsze. w kilka miesięcy niktby nie był ich rozróżnił od innych Warszawianek, jakby w Pawła amarantowej kolasie od dzieciństwa siedziały, jeździły co niedziele na nieszpór do świętego Krzyża, a potem na wiejską kawę z panią Dorotą Chmielewską, która im matkowała, a później mnie chowała i wszystko co tu napisałem opowiedziała. Za niemi w faetonie, z lornetką na Celestę zwróconą, która na przodzie w kolasie siedziała, asystował im w tych niedzielnych spacerach ksiądz opat Sokolnicki. Paweł kilka staj za wolskimi rogatkami obejrzał się na Warszawę i mówił: "Bodajbym więcej jej nie oglądał, jeżeli Boże taka wola Twoja; weź mnie do siebie lub natchnij gdzie mam szukać dziewczyny, któraby mnie tak, jak dawniej Józia kochała." Pod Rokotowem podróżą znużony, usiadł na ławce, która stała przy służbie

przedzielającej staw rokotowski od rzeczki Gogolna. Po chwili zasnął. Śniło mu się, iż leży w Szczorcach skrwawiony razem mu zadany przez czarnego Fryca: w krótkie marząc że się przebudził, widział przed sobą płaczącą Józję, która mu przysięgała, iż skoro wyzdrowieje, zostanie jego żoną: widział ją młodszą i piękniejszą, to mu tylko nieznośnem było. iż niebaczną na ciężko

ranioną głowę, kołysając ją na swem łonie, ból jego okropnie wzmagając, nie mogąc go dłużej znieść z jękiem się przebudził. Z równym jękiem i cierpieniem obudził się z prawdziwego snu. Zrazu macał rękami skrwawioną głowę, a spostrzegłszy że leży w powozie, chciał z niego wyskoczyć, ale go siły opuściły, chciał mówić, ale z ust czarna tylko krew, nie głos wychodził. Widział nad sobą jakby Opatrzność co nad nim czuwała, głowę Józji jeszcze wiele cudniejszą, jak mu się we śnie objawiła: łączy jej i czarne szklące włosy spadały mu na twarz. Mimo nieznośnych cierpień, upajał się swoim szczęściem, aż znów w letarg wpadł, z którego się dopiero ocucił przy krwi puszczeniu, leżąc w swoim łóżku. Siedzieli przy nim Lafontaine i Bergonzoni,

lekarze JKMci. Zapytali go jaką przygodą tak mocno był  
raniony? Ale on sam tego  
nie wiedział, bo śpiąc, ranę otrzymał; opowiadał im tylko, że  
go anioł w  
objęciach swoich do Warszawy przyniósł. Dalej mówił:  
"Jeżeli to był anioł  
śmierci, czemuż ja jeszcze na tym świecie? tak mi było błogo  
na łonie jego, z  
nim na wieki połączyć się pragnę. Czemuście mi życie wrócili  
?" Lekarze myśleli,  
że jeszcze w gorączce mówi i prosili pana Fryderyka Spaetha  
chirurga nadwornego,  
aby mu raz jeszcze krew z nogi puścił.

Nazajutrz przyszła do niego Józia wraz z obcą dziewczyną:  
gdy tę spostrzegł,  
zawołał: "Bądź mi pozdrowiony aniele śmierci! Nie  
wstrzymuj go Józiu! on po mnie  
z niebios zesłany." I znowu wpadł w letarg.  
Po ośmiu dniach, przy starannej lekarskiej i domowej pieczy,  
znacznie się jego  
stan polepszył. Odwiedziła go Józia powtórnie wraz z obcą  
dziewczyną. Ze  
wzruszeniem, siedząc na kanapie, do niej ręce wyciągał, ale  
znów ją aniołem  
śmierci nazywał. Józia oddaliła dziewczynę, a usiadłszy przy  
nim, ze łzami w  
oczach mówiła: "Drogi Pawle! to nie anioł śmierci, to anioł  
miłości, to siostra  
moja Gabryela! Natchnięta przez Ducha świętego, potajemnie  
napisałam do ojca,

prosząc, aby mi nie odmawiał szczęścia poznania Ga-bryeli,  
wysłuchał prośbę  
moją. Jej życie winieneś, ona cię bez zmysłów w Rokotowie  
znalazła: na jej  
anielską modlitwę Bóg; ci zdrowie powrócił."  
Paweł ukląkszy tak się modlił: "Boże! któryś mnie w chwili,  
gdym o Twoim  
wszechmogącym miłosierdziu ku mnie zwątpił, boleśnemi  
ranami i ciężką chorobą  
nawiedził, oświeć serce moje i objaw mi przenajświętszą wole  
Twoją." — Józia w  
piśmie świętem głośno czytała:  
"Bacząc to Rachel że niepłodną była. zażrzała tego siestrze  
swey. y rzekła do  
męża swego: Day mi

thesz dzieci, inaczej tedy umrę. Osunatowsy się na nie Jakob  
rzekł: Zażem ia  
iest Bog, który, cie zbawił płodu żywota twego: Tedy ona  
rzekła, mam dziewczkę  
Bale, wnidź do niey, ona mi porodzi na łono moje, a będę  
miała z niey syna. I  
dała mu Bale miasto żony. Do ktorey wszedł mąż, poczęła y  
porodziła syna." —  
(Gen, Lib. I. Cap. . y. . . ). Paweł z uwagą słuchał tych słów  
Mojżeszowych, a raczej Boskich, gdy Gabryela nagle z  
uradowaną twarzą wpadła do  
pokoju, pokazując im śliczny brylantowy pierścień, który  
najjaśniejszy pan  
zatrzymawszy się przed Pawła kamienicą, przysyła mu przez  
pana szambelana

Chłapowskiego.

Czy to nagradzając, iż tak znaczną fabrykę założył, czy może  
mu ksiądz opat  
nadmienił o trzech pięknych siostrach, mieszkających na  
elektoralnej ulicy, tego  
nie wiem: i jedno i drugie do prawdy podobne, bo monarcha  
ten równie lubił  
wspaniale zasługi wynagradzać, jak hołdować płci  
niewieściej.

## ROZDZIAŁ X.

### NIEBOSZCZYK KRÓL.

— Fou qui juge les souverains, criminel qui les  
condamne. —

Paweł nie posiadał się z radości, że go tak wielki spotkał  
zaszczyt, a  
obejrzawszy kosztowny klejnot, rzekł: "Gabryelo! tobie  
winienem życie, tyś była  
aniołem moim, od śmierci wybawicielem, noś ten pierścień,  
daje ci co mam

najmilszego, upominek króla i pana mego."

Gabryela pełna wdzięczności, serdecznie go uściskała,  
poczem Józia w piśmie

świętem dalej te słowa czytała:

"Osądził me Pan, a wysłuchał moy głos, dawszy mi syna. A  
dla tego dała mu imie

Dan." — (Gen. Lib. I. Cap. . v. ).

Paweł podał Gabryeli rękę i rzekł: "Czy wola Boska  
przeznaczyła mi ciebie za

żonę?" W chwili gdy Gabryela odpowiedzieć mu chciała,  
otworzyły się podwoje i

weszła czwarta osoba — Stanisław August.

Paweł zmieszany, chciał swoją rękę usunąć, ale uprzedził go  
król, a trzymając

złączone kochanków dłonie, rzekł: "Niech Bóg waszemu  
związkowi pobłogosławi,

chciejcież i swata na wesele prosić."

Farbierz chciał z unizonością pocałować królewską zieloną  
atłasową, niebieskimi

lisami podszytą szubę, ale najjaśniejszy pan tego niedozwolił,  
mówiąc: "Nie

unizaj się asan, więcej szanuje uczciwego profesjonistę, niż  
szlachcica

próżniaka. Podaj mi rękę i pozwól, abym twoją śliczną  
narzeczoną uściskał."

Owe niebieskie lisy na moje oczy widziałem, nosiła je po  
śmierci królewskiej

czcigodna jenerałowa Grabowska, matka Stanisława mego  
dobrodzieja.

Król nie dozwolił, aby go Paweł do karety odprowadził,  
mówiąc: żeby się mógł  
zaziębić, bo jak to u nas nieraz w Maju bywa, śnieg pudrował  
ulice. Trzy siostry  
go w tej powinnej uszanowania oznace zastąpiły. Blisko  
karety stał ksiądz opat  
Sokolnicki.

Gdy powróciły, mówił Paweł do Gabryeli: "Jak mogłem na  
ciebie w Amsterdamie nie  
zważać, kiedy dziś oka z ciebie spuścić nie mogę, czy i ja  
tobie wówczas byłem  
obojętny?"

"Czy temu wierzyć możesz Pawle? odpowiedziała rumieniąc  
się Gabryela, unikałam  
cię, bom się lękała twego spojrzenia. Gdyś przemówił, serce  
mi drżało.

wiele płakałam, wiele cierpiałam, czemu? boś mi bardzo był  
miły, a tyś o tem nie  
wiedział"

Celesta na to: "Nigdy ci tego nie wyznała Pawle, że  
Gabryela pierwszym była  
powodem mojej szalonej do ciebie namiętności. Dorosłą  
będąc sądziłam mieć więcej  
prawa do twojej ręki jak ona, mówiłam sobie ile musisz być  
kochania godnym,  
kiedyś potrafił w dziecku tak wielką miłość obudzić. Ona co  
tylko o zabawkach i  
stroju myślała, dotąd była zdrową i wesołą: gdy ciebie  
zobaczyła mizerniała,  
całe noce płakała i jak w gorączce mówiła."

"Tak było, odezwała się Gabryela. Dziwny to był czas, rosłam tak prędko, że już w żadną z moich dawnych sukien ubrać się nie mogłam, wszystko co mnie dawniej bawiło, zdawało mi się błache i nikczemne. Szczęśliwą byłam, że mnie na wieś odesłano. Tam miałam więcej wolności, tam mogłam jedynie o tobie marzyć. Razu jednego poszłam w głąb lasu, a usiadłszy dla wypoczęcia pod wielkim starym dębem, spostrzegłam obok siebie otwór, podobny do tych, które krety ryć zwykły, a że jakiś szelest słyszałam, przyłożyłam ucho i usłyszałam wielki gwar niby ludzkiej mowy."

"Jeden mówił, iż ciągle podemną chodzi, gdyż go niewymownie moje roztargnienie bawi: pokazywał

swój policzek, który mu miałam wczoraj zranić, pisząc płaczącej wierzby gałązką twoje drogie imię."

"Drugi się chwalił, iż niepostrzeżony często na mojem ramieniu siadywał, a szepcząc niestworzone rzeczy do ucha, głowę mi zawracał."

"Trzeci rozповідаł, że nieraz w moim warkoczu nocował, a na włosach jak na harde, cudowne melodye wygrywając, w zachwycenie mnie wprawiał i słodkim snem usypiał."



"Czwarty oświadczył, iż ich żarty zemną w krótcie koniec wezmą, gdyż mu z Warszawy pisano, iż sióstr moich jest życzeniem, żebym do nich jechała i ślubowała tobie."

"Słyszając to, zaczęłam Bogu dziękować, gdy się jeszcze jeden głos W ten sposób odezwał: Co, Paweł ma naszym żartom z tą ładną dziewczyną koniec położyć? namówię ja czarnego Fryca, aby raz jeszcze na łbie jego swej pałki spróbował."

"Te słowa mocno mnie przeraziły. W korze dębu, aby miejsce naznaczyć, ostrym kamieniem krzyż wyryłam i poszłam do domu. Krewna gniewając się, iż tak długo w lesie bawiłam, wypytywała się o przyczynę tego spóźnienia: nagłona przez nią, opowiedziałam jej wszystko co słyszałam."

"Ona obojętnie odrzekła, że słyszaną przezemnie rozmowę podziemną, duchy djabelskie prowadziły i zaręczała, że i ona nieraz słyszała ich głosy."

"Nazajutrz poszła zemną do lasu, łatwo dąb poznałam. Krzyż był napełniony biedrunkami, tak licznie na nim osiadłemi, że zupełnie czerwono wyglądał: otworu już widać nie było, w miejscu w którym go wczoraj widziałam, wyrósł ogromny grzyb, zwany muchomorem."

Teraz wystaw sobie Pawle, z jaką obawą po trzech miesiącach pobytu w Holandyi, opuściłam rodziców. Stałeś mi przed oczami w grobie złożony, w drodze ciągle się za tobą oglądałam, mając przeczucie, iż cię spotkać muszę: i spotkałam w Rokotowie śmierci bliskiego."

"Czyś mnie zaraz poznała?" zapytał się Paweł.

Ona mu na to: "Pawle! jak o tern wątpić możesz?"

On rozrzewniony zawołał: "Boże! czem ja na tak wielkie szczęście zasłużyłem?"

"Zasłużyłeś na nie, odezwała się Józia, bo cię szczęście nie psuje, bo ceniąc

dary, którymi cię opatrność obdarzyła, więcej cenisz twoje czyste sumienie i

pracy się nie wstydzisz. Zostań zawsze takim, jakim dotąd byłeś, a Bóg tobie i

twoim dzieciom błogosławić będzie; od tej chwili z nieba mi zesłany

skarb, jest ich własnością, bodaj im równe jak tobie szczęście przyniósł."

W kilka dni przed ślubem zjechał pan Van der Hosen. Żona jego bogate podarunki

zareczonym przysłała, wymawiając się od zaprosin na ślub tem, iż na nowo salę

jadalną malować każe i ze jej najmilszy kanarek mocno zakatarzony.

Adwokat chciał szczerze Józję prawnie za swoją córkę uznać, lecz ona prosiła go,

aby tego zaniechał, mówiąc, że ponieważ tylko członkowie rodziny o jej pochodzeniu wiedzą, więcej jej tym krokiem zaszkodzi jak pomoże, dodała oraz, żeby go ogłoszenie, takie z matką jej drogich sióstr poróżniło. Liczne mu dawała dowody miłości i przebaczenia, on również się do niej z serca przywiązał. Darował jej znaczny kapitał. Józia wdzięcznie go przyjęła, ale się zapytała, czy go podług swojej woli użyć może. Chętnie na to ojciec zezwolił; a Józia pomnąc że była opuszczonym dzieckiem, postanowiła złożyć te pieniądze na pomnożenie funduszu dzieciątka Jezus, obiecując sobie, iż nigdy nie opuszczając Pawła i drogiej Gabryeli w Bogu będzie chować ich przyszłe dziatki. I Celeste ojciec nie mały posag przywiózł; wyznała mu, że czuje skłonność do jednego z magnatów poznańskich. Panu Van der Hosen podobał się ten wybór i nim do Amsterdamu powrócił, zaręczył

ją z JW. Gęsickim z pod Kiszkowa, gdzie dotąd Gęsiccy ich potomkowie kwitną, gęś w czerninie za herbowny klejnot mają. Nieraz Celesta list pieczętując wspomniała, iż i ona kiedyś w czerninie była. Najjaśniejszy pan zjechał na wesele i darował Gabryeli sznurek pereł, mówiąc:

"Te perły czyste jak łzy, któreś asani z ślicznych oczu sypała,  
niech ją odtąd  
zdobią; noś je na pamiątkę króla, a szcędź i pereł oczu  
twoich, darz niemi  
tylko nieszczęśliwych. " Potem dziękował Józsi za pobożny  
użytek swego posagu i  
każdemu uprzejme słowo powiedział.  
Gabryelę biały koronkowy welon przez matkę przysłany i  
mirtowy wianek, cudnie  
ubierały. Paweł był odziany w czarną ferezyą, jak się wówczas  
profesyonści  
nosili.  
Wszyscy byli szczęśliwi z szczęścia Pawła i Gabryeli, tylko  
panu Czereckiemu nie  
było do smaku, że Paweł nic w haftowanych francuzkich  
sukniach wystąpił, jak to  
Czereckiemu przystało.  
Król wypiwszy zdrowie nowożeńców, oddalił się ale liczne  
grono dworzan zostało  
na cukrowej kolacyi. Paweł prosił swoich dostojnych gości —  
byli tam jaśnie  
oświeceni i jaśnie wielmożni — aby pozwolili, żeby i czeladź  
swoją zaprosił;  
wszystkim się to podobało, tylko pan Czerecki rozgniewany,  
że przy jednym stole  
miał z rzemieślnikami siedzieć, przed

wieczerzą spać się położył, mrużąc pod nosem: "Żebym  
Pawła z familiantką  
poznańską był połączył, nie byłbym dziś na afront  
wystawiany, iżby mnie

Czereckiego naglono z rzemieślnikami się wdawać, w  
poznańskim bowiem szanują  
decorum."

O północy goście się rozjechali, a lubom już stary, ale jeszcze  
kawaler, nie  
wiem co się potem w Pawła domu działo: domyślam się tylko,  
że się Celeście o  
Gęsickim i o Kiszkwie śniło.  
Wiadomo wszystkim, iż każdy kruk sto jeden lat i jednaście  
godzin żyje. Otóż ja  
wysłuchałem we Wilanowie, leżąc pod rozłożystą  
nadwiślańską topolą kruka,  
wielkiego astronoma, który swojej czułej małżonce zaręczał,  
iż nigdy mu się nie  
zdarzyło lepszej polegwicy zakosztować, jak z czarnego  
Fryca, powieszzonego za  
czasów króla Stanisława Augusta.

OLGA KARYLOS.

POWIEŚĆ POZNAŃSKA Z ROKU

"Ii ne peut y avoir ni repos, ni prosperité

la où il n'y a pas conformité de doctrine. Ainsi que je l'ai  
appria en Allemagne  
et en Flandre."

(Te słowa kładzie Mignet w usta Karola V.)

W roku . mieszkała w Poznaniu Olga Karylos. panna jednia,  
jak dopiero  
zerwany laskowy orzeszek. brunetka; miała zęby jak u myszy,  
oczy czarne,  
pociągłe, suto obsadzone jedwabnistą falbaną długich źrzenic.  
Gdy na etę  
spojrzała, ogniste iskry sypiąc z tych dwóch kraterów, znikły,  
jakby lawą w  
popiół obrócone, wszystkie twoje wspomnienia o innych  
kobiet oczach. Miała i  
wąsik czarny, a każdy z nas wie, jak człeka taki wąsik kusi i  
do jakich wniosków  
jest powodem.  
I ja przed laty w Dreźnie przez całe dwa tygodnie do  
pucmacherki francuzkiej  
wzdychałem, której górną wargę kruczy puszek zdobił.  
Spotkałem ją przed rokiem  
na Brylowskiej terasie, a myślałem, że za kobietę przebrany  
pan Klapka, albo  
inny jaki we-

gierski insurgent do mnie się zbliża, tak śliczny wąs miała. Wojsko było liczne w Poznaniu. I pannie Karylos dano na kwaterę rotmistrza pana von Jankowskiego, zrodzonego w Maryampolskiem, człowieka wykształconego i uczuć szlachetnych.

Jedno w nim Oldze dziwaczne się zdało, iż z największym staraniem co rano, już szpakowate włosy swoje, czarno malował; raziło ją, iż tak do rzeczy człowiek jak

on, temu zamaskowaniu wiekuswego czas poświęcał.

Razu jednego siadając do stołu, przyszło jej na myśl dać mu uczuć, że i siwe

włosy mogą się podobać; w tym celu pogłaskała białą głowę starego Hansa Pommer,

ordynansa rotmistrzowskiego, mówiąc: "Jak lubię te siwe włosy, dają jego twarzy

wyraz dziecinnej łagodności: wszakże i dziecię ma jasną główkę, a ileż to w niem uroku?"

Stary weteran dziękował wdzięcznym uśmiechem za jej uprzejme słowa i dodał, iż się pomodli, aby prędko dostała pomyślną wiadomość o ojcu swoim.

Rotmistrz spojrział na Hansa i strzygnął niechętny wąsami, Pommer go zrozumiał i opuścił izbę.

Na to Olga Karylos: "Widzę, że panu nie miłym jest widok tego weterana, a on jednak tak szanowny, tak do rotmistrza przywiązany."

Mylisz się pani. Równie z nią oddaję sprawiedliwość, ale jeden wypadek ostatniej wojny nieznośnym mi czyni widok siwych, starych żołnierzy." Olga prosiła, aby jej to zdarzenie wojenne opowiedział. "Początek bitwy pod Laon w Pikardyi, był dla mnie nader szczęśliwy. Szwadron którym dowodzę, znakomicie się rano odznaczył, księżę Wilhelm brat królewski kazał mnie przywołać i przypiął mi własną ręką ten krzyż żelazny. Już bitwa była dla nas wygraną, artyleria złamała kolumny piechoty nieprzyjacielskiej, a jazda nasza goniąc za nią, licznych jeńców brała. Szwadron mój zmęczony rannymi znojami, konie karmił i gotował, ale ja upojony mojem szczęściem, prosiłem generała, aby mi pozwolił z drugim pułkiem jego brygady na nieprzyjaciela nacierać. Pułk ślicznie przybranych kirasyerów włoskich zrobił front przeciwko naszym ułanom; dowódzca ich na dzielnym karym ogierze zakomenderował: " Naprzód marsz!" i natarł na nas...ale sam jeden, bo komenda jego pierzchnęła wołając: "Bravo Signor Capitano!" Dowódzca z miejsca się nie ruszył, stał jak dąb pomiędzy naszymi. Kilku pruskich jeźdźców dzielnie odparł. Oni nie troszcząc się o pojedynczego człowieka, z drugimi udali się za Włochami w pogoń. Wówczas wpadłem na niego. Trzymał obu-



racz pałasz, przyciskał go do czoła, zdało mi się, że się modlił.  
Juz chciałem  
go skłonić żeby mi się poddał, gdym księcia Wilhelma  
sposzregł z licznym  
orszakiem, a chcąc w oczach jego i w pojedynczej walce się  
pokazać, zawołałem:  
broń się! Minut kilka walczyliśmy z sobą z równem  
szczęściem, ale zem młodszy i  
silniejszy, ciężkim razem w głowę, powaliłem go z konia."  
"Słowa nic są w stanie wyrazić okropności moich dręczeń,  
gdym sposzregł krwią  
zbroczone, jak śnieg białe jego włosy: nic nie zdoła tych  
krwawych plam z  
pamięci mojej zetrzeć. Przeklinałem ranną sławę, krzyż, a  
nadewszystko chęć  
popisania się przed księciem. Nigdy w tak starym wieku  
żołnierza w żadnej armii  
nie widziałem. Zeskoczyłem z konia, jeszcze oddychał. W tem  
trębacz szwadronu na  
apel zatrąbił, musiałem do swoich, a starca powierzyłem  
opiece Hansa."  
"Czy przyszedł do siebie?" z łzami w oczach spytała Olga.  
"Nie, odpowiedział westchnąwszy rotmistrz. Pommer dopiero  
po miesiącu mnie  
znalazł: zapewnił, iż od chwili jak starca opuściłem, słowa nie  
wyrzekł.  
Proboszcz miejscowy pochował go z solennością należną tak  
walecznemu  
żołnierzowi, ale nazwiska jego nie wiedząc, w zaświadczeniu  
pogrzebowem umieścić

go nie mógł. Jestem więc i tej ostatniej pozbawiony pociechy,  
abym moją  
nieszczęsną próżność odkupił pieczę nad jego należącymi,  
osładzając im ich  
sieroctwo."

Czułość i szlachetność serca Jankowskiego, mocno wzruszyły  
Olę, ukryć mu tego  
nic mogła; a jak to bywa, że często jednej osoby uczucie, w  
drugiej odzywa inne,  
które bez wyznania pierwszej tajemnie by w sercu leżało.

Rotmistrz ośmielił się  
jej wyznać, iż od chwili jak ją poznał, wielką skłonność do  
niej czuje i że  
miałby się za najszcześniejszego, żeby mu swoją rękę oddała.  
Olga szczerą i usposobienia nadzwyczaj żywego, podała mu  
rękę mówiąc: "I ty  
panie Jankowski niejesteś mi obojętnym!"

Takie były ich zaręczyny.

Rotmistrza służba wołała, pożegnał ją czule.

Panna Karylos ubrawszy się, szła do kościoła, aby Boga prosić  
o błogosławienie

jej związkowi, gdy ze zadziwieniem spostrzegła, iż już lud  
pobożny po

skończonych nieszporach farę opuszczał. Nowo zaręczonym  
godziny minutami były. W

kruchcie spotkała Aurelię Wiśniewską, która ją w przyszłą  
Nieziele, na sesję

związku do siebie zaprosiła. Wówczas polskie panny miasta  
Poznania pod

nazwiskiem:

"Córki nieszczęśliwej matki" stowarzyszenie zawiązały.

Aurelia ze zapałem o związku mówiła, najpocziwsze, ale przesadzone na nim budując nadzieje. Olga równie nim była zajęta, dziś jednak nie mogła się wznieść na wysokość egzaltacji Aurelii, co ostatnią spowodowało, iż Olgę z goryczą o oziębłość obwinięła.

Od dziecinnych lat przyjaciółki, rozstały się raz pierwszy niechętnie sobie.

Oldze nieznośnem było, że Aurelia ciągle nad stowarzyszonemi rówienniczkami górować chciała, zwłaszcza, iż nie ona, ale Olga pierwszą myśl związku podała.

Ta sprzeczność jednak leżała w ich usposobieniu. Olga gorąco czując, z wymownym zapałem pomysł swój objawiła i wraz znalazła liczne grono zwolenniczek; ale bez wytrwałości, bez wrodzonej siły władania drugimi, wkrótce ubiegła ją Aurelia.

Ta nie zdolna rzucać własne ziarna z swego wykształconego ale niepłodnego umysłu, umiała z korzyścią swojej przewagi, na obcych polach żniwować: czyniła to nie w złym celu, ale w przekonaniu, iż pod jej kierunkiem, związek lepsze i trwalsze wyda owoce, jak pod wpływem Olgi.

Aurelia wracając do domu — mieszkała w kamienicy Degórskich na jezuickiej ulicy — mówiła do siebie: "Czyby ta pogłoska prawdziwą być miała, że

kwaterunek obcego rotmistrza nie tak niemiłym jest Oldze jak nam zaręcza ?"

Wiśniewska w uczuciu, iż obowiązki jej jako prezydującej, świętszemi były jak przyjaźń, która ją z Olgą łączyła, nieomieszkała na niedzielnej, u niej się odbywającej sesyi, pannę Karylos za zdrajczynię publicznie ogłosić i wnieść, żeby ją z towarzystwa wykluczono, nie tając oraz porozumienia, że obcy oficer jej apostazyi przyczyną.

Olga wychodząc z domu, postanowiła z właściwą sobie szczerością uwiadomić przyjaciółki, iż z rotmistrem zaręczona; wiedziała wprawdzie, iż ta lub owa, mianowicie Justyna Degórska i Jagusia Wyszyńska prześladować ją będą, że obcemu rękę oddaje, ale to biednemu dziecku nigdy w głowie nie powstało, że jej najdawniejsza przyjaciółka ją o zdradę oskarży.

Numer . gazety W. księstwa poznańskiego z . Sierpnia r. . , który jej

tegoż dnia w ręce wpadł, nie mało się także przyłożył do zbałamucenia jej

wyobrażeń politycznych. Czytała w nim:

"JW. Radoński, prezes rady departamentowej odpowiedział w polskim języku w

imieniu narodu na mowę księcia namiestnika:

"Że naród poczytuje sobie za szczęście posiadać dostojnego potomka Jagiełłów,

jako namiestnika najlepszego króla — wybranego do obznajmienia

monarchy z jego życzeniami, że naród z wdzięcznością  
uznaje, iż Fryderyk Wilhelm  
najlepszy z królów przyjmuje go jako własne dziecko i czynił  
przrzeczenie, iż  
język i narodowość będą szanowane."  
Zdawało się Oldze, iż złagodzi towarzyszek niechęć  
wyznaniem, że Jankowski z  
rodu jest Polakiem, że biednych będąc rodziców synem w  
pruskim kordonie  
zamieszkałych, przez matkę nabechtany, wszedł do służby  
wojskowej, a raz w niej  
będąc, nie godziło mu się łamać wykonanej przysięgi.  
Lecz właśnie to. co na jego i swoją mówiła obronę, wzmogło  
surowość panny  
Wiśniewskiej. Przekonała ona stowarzyszone siostry, iż  
polityczna przysięga nie  
jest obowiązująca.  
Większość, jak to wszędzie namiętna i głupia, postanowiła za  
Aurelii wnioskiem:  
iż Olga przestała być godną należenia do związku "Córek  
nieszczęśliwej matki."  
Ona mniej do serca biorąc ten wyrok, jak obelgi miotane przez  
Aurelią na  
rotmistrza, zawołała: "Żebym była mężczyzną, strzeliłabym  
do ciebie jak do  
dzikiego zwierzęcia, one tylko ciało, a ty sławę ludzką  
szarpiesz."  
Aurelia, lubo i ten pomysł kobiecego pojedynku nie od niej  
wychodził, ale  
obiecując sobie, iż przy-

jęcie walki wzmoże jej powagę, odpowiedziała heroicznym głosem: "Nie widzę, czemu by tylko mężczyźni miało służyć prawo bronięcia swego i przyjaciół honoru, jeżeli chcesz satysfakcji panno Karylos, chętnie ci ją dam." Klubistki rozśmieszyło zrazu to wyznanie, ale wkrótce przełknięte, usilnie starały się pogodzić Aurelię z Olgą, czem ostatnia znudzona, pozornie obojętna sesją opuściła. W istocie jednak wrzało w niej i tak była wzruszoną, iż nie zważając na lejący deszcz, ciągle do siebie mówiąc, z wyciągniętą prawą ręką jakby w niej pistolet trzymała, raczej przypadkowo, jak ze zamiaru zaszła na Sapieżyńskie do mieszkania swego. W sieni wiele stało ludzi chroniących się przed deszczem; nie bacząc na nich, jak jaszczurka pomiędzy kamieniami prześliznęła się, znikła i w mgnieniu oka przeleciawszy schody, stanęła u drzwi swoich. Tam spostrzegła dopiero, iż klucz u Aurelii zostawiła. Nie mogła do niej powrócić. Jankowski jeszcze w stajniach szwadronu był zajęty, a służącej pozwoliła była aż do wieczora w mieście szukać zabawy. Nie wiedziała więc co począć. Różowemi pięściami biła we drzwi i nocami je kopała, a lubo małe były. w krótko swego

dokazała i weszła do pokoju: może też drzwi na klucz nie były zamknięte.

Już ciemno było, położyła się na kanapie, ostygła ze zapachu i myśli swoje zbierać zaczęła. Raz żal ścisnął jej serce, że Aurelia, którą dawniej tak bardzo kochała, dziś z nią niegodziwie sobie postępuje; po chwili znowu zemstą ku niej pałała. Myśli tylko, aby cofnąć dane rotmistrzowi słowo, nie dawała przystępu.

Tak marząc długo leżała, gdy się drzwi otworzyły, a ile ciemność widzieć dozwalała, weszła do pokoju wysoka osoba, ubrana jak się Oldze zdawało, w jej najstrojniejsze suknie. Na piersiach miała ze złotego papieru kirys, a na głowie starego Hansa kaszkiet. Stała na środku pokoju i deklamowała w niemieckim języku słowa z dziewicy orleańskiej: "Kurz ist der Schmerz und ewig ist die Freude."

Mimo tego poetycznego wyskoku, wraz Olga poznała głos swojej kucharki, a razem i służącej Miny, rodem z Kargowy. Panna Karylos nie odezwała się, czekając na dalsze kucharki natchnienia, ale ona prozaicznie zajęła się krzesaniem ognia, zapaliła świecę, a spostrzegłszy swoją panią, zawołała przerażona: "Gott sei mir

gnädig"

"Cóż to za dziwactwo, odezwała się Olga, wiesz jak nie cierpię, aby kto inny jak ja, moje suknie wdziewał."

"Pani! nic złego nie zamierzam, odpowiedziała kucharka, jedynie miłość do sztuki jest mi do tego przebrania powodem."

"Do sztuki? zawołała panna Karylos zniecierpliwiona, czy myślisz, iż w tym stroju lepiej gotować będziesz? czyś ty oszalała?"

"Ach! jak mnie pani mało cenisz, czybym ja śmiała gotować w tej ślicznej sukni?"

Nie w kuchni, nie w radiach szukam sławy; nie rosół, nie kluski, tragedia moim jest żywotem. Tu jestem Miną i kucharką, a na scenie w browarze Sztoła będę dziewczicą orleańską oswobodzicielką Francji."

Olga na to: "Żeby nie była cierpiącą, możeby mnie głupstwa twoje bawiły, dziś

mi są nieznośne: prędko przyrządź do herbaty."

"Pani, inny głos do szlachetniejszych powołuje mnie obowiązków; cierpię na tern, żem jej nie posłuszna, ale dałam słowo artystki, iż dziś dziewczice przedstawię.

Już słyszę króla kroki na wschodach: gdyby po mnie był przyszedł, nim byś pani była do domu wróciła, to i tak bez herbaty spać byś się położyła."

"Mino! poślę po policję."



"Dziewica, co tysięczne hufce Albionu z Francji wygnała,  
policjanta się nie  
uleknie i oczy mu wydrapie. Ale otoż i król.

Był to Hans Pommer masztalerz rotmistrza, który z wielkim  
przemysłem tortówkę  
blaszanną na koronę przerobiwszy, ustroił ją w pióra do  
Pauliny należące wówczas  
Marabout zwane i udrapowawszy się w czapraki swego pana,  
wszedł gwizdając do  
pokoju. Ten król cuchnął wprawdzie trochę stajnią, Annę  
Sorel mogło to razić,  
lecz miłą była ta woń rycerskiej dziewczicy. Mocno się przeląkł  
spozrzegłszy  
pannę Karylos: ale kucharkę przytomność jego utwierdziła w  
krnąbrności i więcej  
jeszcze w niej ogień artystyczny rozżarzyła.  
Hans kochał Minę, albo raczej wołał jej przysmaki, jak  
komysny chleb, ale  
nadewszystko bał się swego pana; z pokorą więc złożył  
blaszanną koronę, zjął  
purpurę czaprakową i na rozkaz Olgi ze żołnierskim  
posłuszeństwem zawołał  
policyanta.  
Gdy temu Olga zdarzenie opowiedziała i prosiła, aby zmusił  
Minę do zdjęcia jej  
sukien, spojrzął na kucharkę i rzekł: "Znam ją, jest to  
znakomity talent,  
artystom nie jedno należy wybaczyć: inaczej pojmują oni  
własność: jeżeli pani

suknie wdziała, nie uczyniła to dla swojej korzyści, ale jedynie dla przyjemności miłośników sztuki." I odszedł, mówiąc, iż ma ważną polityczną missyą. Do dziś dnia jeszcze chodzi po Poznaniu z wielkim rubinami obsadzonym nosem.

Olga rozgniewana widząc się i przez władzę opuszczoną, oświadczyła kucharce w przytomności Hansa, iż jej niejedną już winę, a nawet i złodziejstwo przebaczyła, ale że po dzisiejszej grubiańskiej krnąbrności, jutro ją ze służby oddali.

Masztalerz Minie wypowiedział swą przyjaźń, mówiąc, iż ze złodziejką nic wspólnego mieć nie chce.

Mina na to bezwstydnie odpowiedziała: "A ty czyś lepszy odemnie? Jeżeli wino mojej pani kradła, to nie ja, ale tyś się nim upijał. Odbierz wszystko coś mi podarował." To mówiąc, wyciągnęła z pod papierowego kirysu złoty łańcuch, na którym wisiała wyblakła miniatura i rzuciła go na stół, przy którym siedziała panna Karylos.

Olga spostrzegłszy ten klejnot zawołała: "Mój ojczy, mój biedny ojczy!" i zemdląła.

Gdy oczy otworzyła, Minę tylko przy sobie widziała, Hans był uciekł wraz z łańcuchem i koroną w czasie jej omdlenia. Zapomniała o niegodziwości Miny, błagała aby od Hansa odebrała ostatni upominek, którym ojca obdarzyła, a który był przyrzekł do śmierci z ciała nie zdejmować. Mówiła, jeżeli Hans ten łańcuch z ojca szyi złupił, to musi wiedzieć, czy on jeszcze żyje, czy w niewolę wzięty. "Mino! wszystkie ci moje najlepsze suknie daruję, zawsze w służbie mojej

zostaniesz, ale na Boga cię zaklinani, dowiedz się od Hansa, jaką kolejną własność niego ojca w jego się ręce dostała." Mina ulitowała się nad nią i chwilowo zapomniała o swojej roli; poszła do stajni dla uiszczenia się z danego jej zlecenia, ale Hans jej odpowiedział, iż w złości łańcuch do stawu wrzucił, dodając, iż jest szychowy, za małą cenę w Paryżu kupiony, że jej pani szalona lub rozkochana, iż jeden łańcuch do drugiego podobny. Nie długo trwał kucharki gniew, gdy ją Pommer upewnił, iż tylko przez wzgląd na swego pana przed Olgą udał, iż Minę o kradzież obwinioną, z miłości pokwitował. Uściskali się tern czulej, że Hans był zajrzał w list ze sztabu do rotmistrza

przysłany, który jak mu się zdawało, zawierał rozkaz opuszczenia Poznania. Miłość sztuki przemogła krótkie uczucie litości Miny nad panią swoją. Król podał rękę dziewicy orleańskiej i szli ku browarowi Sztoka. Niecierpliwość Olgi oczekującej powrotu Miny, coraz się wzmagala. Nigdy bowiem córka więcej nad nią, ojca swego nie kochała; zasługiwał on także na podobne uwielbienie jedyne go dziecka swego, nietylko jako czuły ojciec, ale jako prawy obywatel i rzadkiej dzielności żołnierz.

Przodkowie jego, z wielu innem i greckimi rodzinami z Macedonii przybyłemi, w Polsce osiedli: i odznaczają się przemysłem i przywiązaniem do nowej ojczyzny swojej. Lubo pan Karylos w późniejszych latach służby napoleońskiej przyszedł do przekonania, iż jemu, a nie Polsce służy, jednak w nieszczęściu go nie opuścił, a po rozwiązaniu wojsk księstwa warszawskiego, objął komendę nad pułkiem włoskim, o którym już wzmiankę uczyniłem. Był on z duszy i z ciała żołnierz, nie dziw więc, że go mamił urok największego wodza nowszych czasów.

Olga wstała z kanapy, otworzyła okno, księżyc świecił, a z drugiej strony stawu na Sapieżyżskim, w miejscu gdzie dziś Kaatza winiarnia, spostrzegła kiras Miny

i hełm Hansa: nie tracąc czasu pobiegła za niemi. Nie mogła ich jednak dopędzić, widziała tylko jak weszli do jednej z kamienic na wrocławskiej ulicy, oświecanej przy bramie kilku kopącymi się lampami. Zadyszona stanęła naprzeciwko tego domu. mówiąc: "Jeżeli wejść, popełnię nieprzyzwoitość, a opuściwszy moje stanowisko, stracę ślad Hansa, który posiadając łańcuch, jeden tylko może mi dać wiadomość o losie drogiego ojca." W tern ciężką mężką rękę uczuła na swoim ramieniu, wystraszona z gniewem ją odepchnęła, ale wnet gniew w radość się zamienił, gdy poznała rot-

mistrza. Opowiedział jej, że Pommer wraz z Miną główne role tragedii w browarze przedstawiają, prosił, aby z nim na to śmieszne widowisko poszła, zaręczając, iż pod jego opieką, na żadną nie będzie narażona nieprzyjemność.

Olga mu przerwała i ze wzruszeniem opowiedziała zdarzenie z łańcuchem, prosząc, aby sługę swego natychmiast zmusił do wyznania, jakim sposobem się w ręce jego dostał. Jankowski oburzony, iż Hans nie wypełnił rozkazu danego mu przez jego narzeczoną, podał jej rękę i wprowadził do teatru. Nie długo czekali, gdy Hans po królewsku odziany wystąpił na scenę. Rotmistrz

nie dał mu czasu, aby swoją perorę do dziewicy zaczął,  
prosząc ją, aby Francją  
ratowała, ale okropnie klnąc przywołał go do siebie, a  
wziąwszy za kołnierz, na  
ulicę wyprowadził. Olga go zapytała: "Co wiesz o moim  
drogim ojcu?" On na to:  
"Leży w grobie, żeby był przy życiu, pewniebym go  
nieodzierał." Olga płakała ze  
żalu, że już ojca nie zobaczy, a złorzecząc temu, z którego ręki  
poległ, pyta  
Hansa o miejsce, w którym śmierć znalazł i jakie rany jego  
życiu koniec  
położyły?  
"Nie badaj go o te bolesne szczegóły, odezwał się Jankowski,  
po co więcej  
rozdzierać twoje biedne serce?"

"Serce moje tak zboleło, iż je nic bardziej skrwawić nie zdoła:  
pójdę się modlić  
nad grobem jego, niech mi Bóg tej jedynej pociechy nie  
odmawia."

W tern dyrektor teatru przyszedł prosić Hansa,  
aby dziewica wraz z publicznością dłużej na niego nie  
czekała, ale rotmistrz  
trzymając silną dłońią Pommera i klnąc na publiczność, na  
dyrektora, a nawet i  
na dziewicę, tak dalej go badał.  
"Gdzie znalazłeś ten łańcuch? odpowiedz, albo ztąd żywym  
nie wyjdiesz."  
Hans przyuczony słuchać swego pana, tą razą jednak, może  
zaślepiiony blaskiem

korony, krnąbrnie odpowiedział:

"Ileż to hałasu o takie błazeństwo! Łańcuch zdjąłem z trupa; jeżeli winny, niech mnie pan rotmistrz pod sąd wojenny odda, a starego żołnierza nie poniewiera."

"Gdzie skołał właściciel łańcucha ?"

"Toć pan rotmistrz lepiej wiedzieć musisz niżeli ja, odpowiedział Hans. Nas żołnierzy mało obchodzi nazwisko miejsc, bylebyśmy w nich znaleźli obrok dla koni i dla siebie kawał chleba, zresztą skołał na miejscu, gdzie go pan powaliłeś."

Jankowski przerażony zawołał: "Boże litościwy to ten łańcuch do niego należał ?"

"Nie inaczej, odpowiedział Pommer, również i ten pistolet, wyjąłem go z olstra, bo w srebro był okuty."

"Nikczemniku! jam ci opiekę nad starcem powierzył, a tyś go jak rabuś odzierał."

"Opiekowałem się nim dopóty żył, ale to nie długo trwało, a gdy skołał byłem jego naturalnym sukcesorem. Czym miał chłopom jego puściznę zo-

stawić ?"

Na to rotmistrz cichym głosem do Hansa: "Idź, a jeżeli ci życie mile, nikomu nie

wyjawiaj tego, coś mi powierzył, zeznanie twoje na zawsze mi szczęście odjęło."

Olga podczas tej rozmowy odebrała Hansowi łańcuch wraz z pistoletem, a

darowawszy mu swoją sakiewkę, milcząc ze spuszczonej oczami oddaliła się od

rotmistrza. Za nic w świecie nie byłaby na sobie przemogła spojrzeć na niego, a

tern mniej przyjąć jego ojcowską krwią zmazaną rękę, w celu odprowadzenia jej do mieszkania.

Urywkowa rozmowa jego ze starym żołnierzem, objawiła biednej Oldze cały ogrom

jej nieszczęścia — była narzeczoną zabójcy ojca swego. —

Rotmistrz szedł za nią,

nie aby się do niej zbliżyć, ale jedynie, aby ją od przypadku ochronić. Każde

uderzenie pałasza jego o kamienie bruku, krajało serce Olgi, był

to miecz katowski, a w brzmieniu jego, słyszała przekleństwo starca.

Już stanęła u drzwi domu swego, gdy myśl, iż ma noc przepędzić pod jednym dachem

z Jankowskim, tak ją przejęła, iż zwróciwszy się, poszła ku domowi Aurelii. A za

nią ciągle nieszczęsny miecz dzwonił: "Olgo! ty już nie moje dziecko, zabójcy

mego przyrzekłaś być żoną."

Z łańcuchem i pistoletem w ręku. weszła do pokoju panny Wiśniewskiej, która już



rozebrana, porządkowała akta związkowe, zamykała  
cukierniczkę i chowała do szafy  
resztę sucharków na jutrzejsze śniadanie. Zmięszwały ją nagle  
odwiedziny Olgi. a  
spozstrzegłszy w jej ręku pistolet, wzruszona zapytała:  
"Czy dziś już panno Karylos, pragniesz pojedynku ?"  
"Tak jest, odpowiedziała Olga, dziś jeszcze chcę zginąć z twej  
reki, odebrałaś  
mi sławę dobrej Polki, odbierz i życie."  
Olga wszedłszy do mieszkania Aurelii, chciała jej swoją  
okropną tajemnicę odkryć  
i pojedynku zaniechać, ale spozstrzegłszy akta związkowe,  
srogość z jaką panna  
Wiśniewska względem niej wystąpiła, na nowo jej gniew  
rozżarzyła, a może biedne  
dziecko i śmierci pragnęło.

Aurelia chciała rzecz do jutra odłożyć, mówiąc, że noc  
ciemna, że już rozebrana,  
wreszcie, że jeszcze się w broń nie zaopatrzyła. Olga na  
wszystko miała radę.  
Pokazała jej księżyc jasno świecący, pomogła się jej ubierać, a  
lękając się, aby  
rotmistrz się nie domyślił, że dom opuściły, świec w pokoju  
Aurelii nie zgasła.  
Aurelia drżała jak osowy listek. Wyszły z kamienic } nie  
drzwiami, które się na  
jezuicką ulicę otwierają, a przy których Jankowski czekał, ale  
temi, przez które  
jest wychód na rynek z Degórskich kamienicy.

Obok Działyńskich pałacu mieszkał wówczas Hektor Taylor,  
brat przyjaciółki Olgi,  
śliczny i bystry student, miał lat siedemnaście, znany był z  
tego, iż nigdy nie  
przyjacielowi, a tem mniej ładnej dziewczynie odmówić nie  
mógł. Łatwo go panna  
Karylos skłoniła, iż pistoletów pożyczył i przyjął obowiązek  
sekundowania.  
W mieście cicho było, nikogo nie spotkali, tylko O kilkanaście  
kroków za niemi  
szło ciągle dziecko, albo bardzo małego wzrostu kobieta, tego  
rozeznąć nie  
mogli, mało się o to troszcząc, zaszli na dominikańskie łąki.  
Tam Hektor nabił pistolety i postanowił, że o piętnaście  
kroków, na komenderówkę  
strzelać się miały.

"Raz, dwa, trzy!"  
Olga na wiatr wystrzeliła. Aurelia celując, zraniła w łopatkę  
— nie Olgę, ale  
ową małą kobietę, która za niemi na dominikańskie łąki  
przyszła, a w chwili  
wystrzału od nikogo niespostrzeżona przed Olgą stanęła.  
W mgnieniu oka w trzcinnie znikła. Darmo ją Hektor szukał,  
darmo na nią wołał,  
raz po raz tylko jęk w trzcinnie słyszał, ale coraz dalej: wkrótce  
wszystko  
umilkło, krwi tylko trochę w miejscu pojedynku zostało.  
Taylor odprowadził panny do domu Aurelii i sam do swojego  
powrócił. W czary nie

wierzył, jednak noc całą stało mu przed oczami, to w łopatkę ranne zjawisko.

Olga zawiesiła swoje śliczne ręce, na białej ale trochę kościstej szyi panny

Wiśniewskiej i w jej obnażone piersi mnogie perły łez lejąc, rzekła:

"Nie wspominaj więcej o naszym pojedynku, wybac mi moją winę, wstydę się, żem na chwilę zapomnieć mogła, żem córką legionisty. Tyś chciała być moim aniołem stróżem, jam cię odepchnęła; ale przysięgam ci na cień mego ojca, iż jego zabójcy, nieprzyjacielowi mojej ojczyzny, nigdy ręki nie oddam."

Długo jeszcze trwało nim Olga była w stanie opowiedzieć, jak te nieszczęsną prawdę odkryła.

Dziecinna przyjaźń dwóch dziewcząt na nowo zakwitła, kochała jedna drugą jak dawniej, ale obie nie wiedziały co począć.

Aurelia chciała w imieniu Olgi do rotmistrza napisać, wyrzucając mu barbarzyńską śmierć pana Karylos i dotkliwie dać mu uczuć, iż będąc obcym oficerem, mógł pomyśleć, że polska dziewczyna go za męża pojmie; ale rozważywszy rzecz lepiej i przeczytawszy paragraf siódmy statutu stowarzyszonych "córek nieszczęśliwej matki," uznała, iż Jankowski jako żołnierz tylko powinność swoją wypełnił, i że

cała wina na Oldze ciąży, która mimo przysięgi związkowej,  
bydź żoną obcego  
przysięgła; pisanie listu zaniechała.  
Rotmistrz ze sercem ściśnionem, stał długo u drzwi domu  
Degórskich. W każdej  
chwili mógł dostać rozkaz wymarszu, a daleki od Olgi, którą z  
duszy kochał, nie  
wiedząc o jej usposobieniu do siebie po odkryciu, iż on ją  
osierocił, a jednak  
już z nią zaręczony, widział dla siebie świat zawiązany.  
W tern na ratuszowej wieży stróż wytrąbił północ. — Stróż  
ten, Wawrzyniec  
Szabelski, był już czwartym mężem wdowy, swoich trzech w  
tym urzędzie  
poprzedników: już w pierwszym związku mał-

żeńskim, tak ta dama ciała nabrała, iż żadnym sposobem przez  
ciasne schody wieży  
ratuszowej, na pogrzeb męża przecisnąć się nie mogła: pan  
prezydent Wroniecki,  
mąż wielkiej ludzkości, postanowił więc, iż ten tylko posadę  
trębacza  
ratuszowego otrzyma, kto wdowę poprzednika za żonę  
pojmie. Tą kolejną dwóch  
jeszcze mężów pochowała: pewnie i Szabelski to trąbienie  
nocne nie długo  
wytrzyma, miał bowiem piersi słabe. Znałem go w usługach  
czciwego profesora  
Motty, a dawniej jeszcze na sejmiku w Środzie, gdzie z szablą  
do boku

przypasaną, szlachcica udając, za panem Adamem Gajewskim z Wolsztyna wotował.

Jankowski myśląc, iż o tak późnej porze Olga już do domu nie powróci, poszedł do kwatery swojej, gdzie mu Hans wręczył rozkaz, aby o godzinie czwartej rano do marszu był gotowym.

O czwartej rano, ledwo się przyjaciółki zdrzemnęły, przebudziła je służąca wołając: "Wojsko trąbi, bębni, klnie, pewnie miasto zapali i zrabuje. Ja nieszczęśliwa! Gdzie mi panienki radzą moją nową floransową suknię przed niemi ukryć?"

W tem usłyszały przed domem głos wołający: "Aufgemacht!" Aurelia schwyciła pistolet i zeszła na dół, a na pół odemknąwszy drzwi, spostrzegła sztabowego żandarma, który skłoniwszy się grzecznie,

oddał jej list Jankowskiego adresowany do Olgi, mówiąc: "W tej chwili miasto

opuszczamy, brygada nasza nad Ren komenderowana."

"Chwałaż tobie Boże, odpowiedziała Wiśniewska, jedźcie na złamanie

karku." Żandarm odszedł, mówiąc do siebie: "Nie brzydkie panny poznańskie, ale

mają języki jaszczurcze, a nas żandarmów, którzy im dobrodziejstwa cywilizacji

przynoszą, za psie łytki nie mają."

Aurelia wróciwszy do pokoju, nic o liście nie nadmieniła, a na zapytanie Olgi, z kim na dole mówiła? odpowiedziała, iż żołnierz omyliwszy się w kamienicy Degórskich swego szukał przełożonego. Już się nie położyły. Kanarek, jak moja droga siostra mówi, śpiewać, a podług mego wyobrażenia nieznośnie krzyczeć zaczął. Słońce już było bliskie wschodu, śliczny to był poranek, na oknach ustawione geranie, róże i laki, cudnie pachniały. Aurelia kawę na maszynie gotowała. Była to wówczas jedyna w Poznańskiem znana maszyna, o panu Netrepskim i Cegielskim jeszcze głucho było. Olga w koszulce przy łóżku ukłękła, chciała pacierz mówić, ale nim "zdrowaś Marya" skończyła, myśl ją dręczyła, czy Jankowski nie bez kawy jej dom opuścił. Ubrała się, okno otworzyła i przez nie patrzała; wkrótce usłyszała wojskową muzykę.

potem tentent koni, wreszcie ujrzała generała ze sztabem, a za niemi na czele szwadronu rotmistrza Jankowskiego. Olga nigdy nie była więcej zmieszana, jak w tej chwili, walczyła z chęcią pożegnania rotmistrza i z obawą swojej przyjaciółki, ale gdy jej Aurelia kawę przyniosła, zastała ją już od okna odwróconą.

Rotmistrz tę oznakę obojętności, a może i wzdargy boleśnie  
uczuł, gorzko mu  
było, iż jego list, który całą noc pisał i który mu się nader  
wymownym zdawał,  
żadnego wrażenia na niej nie zrobił; w nadziei jednak, iż choć  
parę słów mu  
odpisze, szwadron opuścił i czekał w bliskości mieszkania  
Aurelii. Ale żaden  
posłaniec nie przyszedł i Olga się więcej w oknie nie  
pokazała. Wreszcie  
pojechał za swemi, oskarżając Olgę o nieczułość: ona do  
siebie mówiła: "Niechby  
choć listownie mnie był pożegnał, tego sama grzeczność  
wymagała.  
Panna Wiśniewska wyjęła z szuflady kantorka akta  
związkowe i długo rozprawiała,  
jak na przyszłej sesji krzywdę Oldze wyrządzoną, zmazaćby  
można; znudzona tern  
Olga tak jej odpowiedziała:  
"Ja już przyszłej sesji nie doczekam, broń mnie jak możesz w  
mojej nieobecności,  
mnie dziecinna powinność woła do ojcowskiego grobu, na  
nim płakać i modlić się,  
będzie jedyną moją pociechą, na nim

sadzić będę lilie i fijołki, jego ulubione kwiaty. Ale Ale gdzie  
ten grób? Z  
wczorajszej rozmowy rotmistrza z sługą dowiedzieć się tego  
nie mogłam."  
Nikogo nie chcę o złe posądzać zdaje mi się jednak, iż zamiar  
Olgi opuszczenia

Poznania, miłym był Aurelii. Może się lękała, iż przez swój urok, zapał i szczerłość, z czasem wpływ wywrze na związek z prezydującej szkodą; może jej też nie do smaku była zalotność Hektora, który we wczorajszej nocnej wycieczce na dominikańskie łąki. tylko Olgą był zajęty. A trzeba wiedzieć, że wówczas Taylor bardzo był w modzie u poznańskich panienek: ta z którą na lekcyi tańców u Rochackiego nie walcował, wracała smutna do domu, ta, której stroju nie pochwalił, cały tydzień matce kaprysiła, dopóty jej nowej sukni lub ubrania na głowę nie kupiła. To pewna, iż panna Wiśniewska, z niezwykłą sobie żywością, Oldze odpowiedziała:  
"Ja na to mam radę: gdym kawę gotowała był Hans, który służbę Jankowskiego porzucił, po dwakroć w sieni i otóż jeszcze przy bramie czeka, każę ci go zawołać."  
Chętnie się na to Olga zgodziła, przywołano Poumiera. Zaczął swoją mowę. obwinianiem rotmistrza o liczne miłostki podczas kampanii, lecz nie długo te

oskarżenia trwały, gdyż mu panna Karylos milczeć i tylko na swoje zapytania odpowiadać kazała.  
"Gdzie Mina?"



"Wymaszerowała dziś rano nad Ren z tambourmajorem."

"Pewno mnie okradła?"

"Nie inaczej pani, i to mnie nie dziwi, bo tu naród złodziejski; czemu sobie

pani Pommerki za kucharkę nie weźmie? ślicznie kartofle gotować umieją."

" moim narodzie źle nie mów, rady twojej nie potrzebuję, wolę żeby mnie swoja

okradła, jak żebym na obcą patrzała. Ciebie biorę w moją służbę chociaż jesteś

Pommer, ale jedynie podczas podróży, w którą się udać zamyślam, potem wracaj

sobie tam, gdzieś się rodził i naszym chleba nie odbieraj."

W tern się zjawił ów policyant z rubinowym nosem. Przyniósł Aurelii likwidacyjną:

tal. sgr. fen. za to, iż nie zameldowała Olgi u niej nocującej; a drugą

Oldze: tal. sgr. fen. karząc ją, iż Minę oddalającą się z jej usług,

wysokiemu urzędowi policyjnemu nie odmeldowała.

Zapłaciły.

A gdy panna Karylos zapytać się ośmieliła, czemu nie pilnował, aby ją Mina nie

okradła, odpowiedział policyant:

"Widziałem wprawdzie, jak wielkie zawinięcie wraz z butelkami wina z

tambourmajorem z domu wynosiła, ale to nie mój wydział, do mnie tylko rzeczy

polityczne i meldunek podróżnych i sług należą."

Pieniądze schował, nisko się uklonił i odszedł, by dalej  
czuwać nad dobrem  
miasta Poznania.

Tydzień nie upłynął, już Olga do podróży gotową była:  
pożegnawszy Aurelią i mszy  
świętej u przemienienia Pańskiego wysłuchawszy, puściła się  
w podróż z Hansem i  
Jagusią Wyszyńską.

\* \* \*

"Żaden ptak nie jest mi tak miłym, jak skowronek, inne latają  
szukając pokarmu i  
chłodu, on się wznosi ku niebu jedynie, aby w radośnej  
wdzięczności swojej  
chwałę Bożą śpiewać. Jak mi tu błogo, nigdy tak lekkim  
powietrzem nie  
oddychałam, nigdym tak pięknej zieloności nie widziała."  
Mówiła Olga do Jagusi, siedząc w otwartym powozie, na  
drodze z Laon do wsi Athis  
w Pikardyi.  
Hans z kozła pojazdu wszystko co w nim mówiono słysząc,  
odezwrał się:

"Nie dziw pani, że tu zieloność piękna, bo się tu krew  
strumieniem lała, armaty  
nasze, jak kosa zboże nieprzyjaciół na ziemię kładła: przy tej  
tu wierzbie,  
spotkałem rotmistrza klęczącego przy ojcu pani."  
Panna Karylos wyskoczyła z powozu, a uklękawszy pod  
drzewem, modliła się i

płakała.

Już się zmierzchało, gdy ją Wyszyńska ze ziemi podniosła.

Olga urwała gałązkę

wierzby, a oparta na ramieniu swojej towarzyszki, szła ku wsi Athis.

Jagusia weszła do probostwa, by księdza o przyczynie odwiedzin swojej pani

uwiadomić. Olga usiadła na darniowej ławce przed domem, czekając na nią.

W krótkce przyszedł do niej stary, poważny kapłan, pochwalił jej świątobliwy

zamiar odwiedzenia grobu ojcowskiego i pocieszał sierotę słowem Bożem.

Przechodząc koło mieszkania kościelnego, kazał mu podać sobie zapaloną latarnią.

Olga szła za nim. oddaliwszy Jagusię i Hansa.

Przyšli przed stary okazały kościół, na kredowatym wzgórku leżący; na cmentarzu

wysokim murem opasanym, wznosiły się liczne kamienne nagrobki, obwite kwitnącym

głogiem i ciemno zielonym bluszczem.

Proboszcz drzwi kościoła otworzywszy, zmówił wraz z Olgą krótki pacierz przed

obrazem matki Boskiej bolesnej, potem otworzył podwoje do pieczar

prowadzące i rzekł: "Tu go znajdziesz nie zmienionego."

Gdy weśli do wielkiej i nadzwyczaj zimnej podziemnej sali, spostrzegła Olga na

starych, zamkniętych kamiennych trumnach, złożone liczne, blade trupy, bez

najmniejszej jednak zewnętrznej oznaki pośmiertowego zniszczenia, ubrane były w mundury prawie wszystkich wówczas wojujących narodów. W środku sklepionej pieczary, wznosiła się szeroka, biała, marmurowa trumna, w czarnej średniowiecznej zbroi, leżał w niej stary rycerz. Olga zbliżywszy się do niego, zawołała: "To mój ojciec!" i zemdląca. Gdy przez starania pocziwego księdza do siebie przysła, tak on do niej przemówił:

"Pieczary te mają rzadką własność, iż w nich złożone ciała, od pośmiertowego zepsucia na zawsze chronią: czy to kredowemu pokładowi wzgórką na którym kościół zbudowany przypisać należy, czy osobliwej łasce Boskiej — nie wiem. Wieś nasza była spalona, mieszkańcy jej zrabowani roześli się po świecie, nie było piły żeby urznąć deskę, nie było komu grobu wykopać. W tej ostateczności wszystkie ciała żołnierzy, które mi do pochowania przynoszono, składałem w tem sklepieniu, odwiecznym grobowcu hrabiów de la Rocheblanche, zamykając go sam staran-

nie, w obawie, żeby rozbisurmanione żołdactwo i z tu złożonych trupów odzienia nie zdzierało. Ciało nieboszczyka ojca twego przyniesiono mi nagie, a jego stara

rycerska postać podała mi myśl ubrania go w tę dawną zbroję,  
która w kościele  
moim wisiała jeszcze od krzyżowych wojen. Leży tu od  
drugiego dnia bitwy zwanej  
pod Laon. Wieczny odpoczynek daj Panie! Ale jeszcze droga  
sieroto, muszę ci o  
dziwilem zdarzeniu wzmiankę uczynić. Jak mówiłem, nikt  
oprócz mnie do tych  
pieczar nie wchodzi, a jednak znalazłem przed dwoma  
miesiącami ojca twego, który  
dotąd z spuszczonej rękami leżał, iż je miał podniesione jak  
do pacierza  
złożone, a przy nim leżała ta książka w obcym mi języku  
pisana."

Podał Oldze książkę, ona na pierwszej karcie czytała:  
"Ołtarzyk złoty," a na  
końcu karty: "Własność Rozalii Jankowskiej, przekupki bułek  
przed domem: pod  
daszkiem zwanym, w rynku poznańskim. Roku pańskiego ."  
Olga zbladła wymówiwszy to nazwisko, przy grobie ojca  
brzmiało ono w jej uszach  
jak świętokracka obelga, wyrządzona ceniom nieboszczyka,  
ale myśl, że ta biedna  
przekupka, którą od dzieciństwa swego pod daszkiem  
widywała, niewiedząc  
wprawdzie, że się Rozalią Jankowską nazywała, nic  
wspólnego z rotmistrzem mieć  
nie może, spokój jej po-

wróciła. Ukłękła przy ciele ojca i całkiem się modlitwie  
oddawała.

Proboszcz wyszedł z pieczar, wnet odezwały się organy, a on zaintonował pieśń:

"Błogosławieni co w Bogu spoczywają."

Długo przy dźwięku organ się modliła, każdy rycerski czyn ojca rozpamiętywając i

błogosławiając mu wdzięcznym sercem za każdą oznakę przywiązania do siebie. W tem

się ksiądz zbliżył, prosząc, aby zimne sklepienie opuściła, a wieczerzę i nocne

schronienie w probostwie przyjęła. Lecz darmo prosił: Olga całując go w rękę, z

rozzewnieniem błagała, żeby jej pozwolił resztę nocy przy ojcu przepędzić,

zapewniając, że jej nie zimno i ze spoczynku nie potrzebuje. Przy świetle

pochodni tak anielsko piękną była, tak gorącymi łzami rękę staruszka oblewała.

iż dal się zmiękczyć, a pobłogosławiwszy ją, wyszedł i zamknął pieczarę.

Olga powiesiwszy łańcuch na szyi ojca, a jak dawniej zwykła była, pocałowałwszy

go na dobra noc, usiadła przy nim i zasnęła.

Na wieży kościelnej wybiła dwónasta. Przebudziła się. Rycerz siedział na trumnie

czytając w ołtarzyku złotym. Po chwili spostrzegła obok niego małego wzrostu

kobietę ze zranioną łopatką. Olga

myślała, że to wszystko jest snu zjawiskiem, ale wnet usłyszała głos starca.

Dzięki ci Rozalio, żeś dziecko moje od śmierci na dominikańskich łąkach wybawiła. Niech Bóg miłosierny twoją ciężką pokutę skrucić raczy."

"Wina moja sromotna, z pokorą karę znoszę. Oddałam syna w obcą służbę, krew bratnią przelewał: niech mnie Bóg karze, nie jego. W roku . Mariampolskie opuścił, a tej samej jeszcze nocy wstałam, dawniej piękna kobieta, w tej jak mnie dziś widzisz postaci, w której jak mi mój anioł stróż objawił, jeszcze lat sześćdziesiąt pozostanę, sprzedając bótki pod daszkiem, ciągle robiąc jedną pończochę , którą dopiero po tych upłynionych latach ukończę. Co się potem stanie, tobie rycerzu Bóg jaśniej niż mnie objawił, boś ty nigdy przeciw Polsce nie zgrzeszył."

W tem kur zapiał, a Rozalia krzyknęła:

"Czy widzisz mego syna topiącego się w Renie? Czy słyszysz jego ostatnie słowa:

""Polsko! Karylos! i ty droga Olgo! wybaczcie mi winy moje.""

"Widzę go, słyszę słowa jego: niech mu Bóg przebaczy, jak ja i córka moja mu przebaczymy."

Rozalia znikła.

A rycerz wyciągając ręce do Olgi mówił: "Ty dziecię moje połącz się przy mnie, tu

czekać jeszcze będziem lat sześćdziesiąt."  
Kapłan wszedł rano do pieczary i znalazł na białej  
marmurowej trumnie Olgę  
umarłą w martwych objęciach ojca swego.  
Jeszcze lat sześćdziesiąt nie upłynęło.

\* \* \*

CZYTELNICZKA. \*)  
Co się z Aurelią Wiśniewską stało?

JA.  
Nie mogę tego pani wyjawić.

CZYTELNICZKA.  
Panie lub pani, bo nie wiem, czy do pięknej, czy do mocnej  
płci należysz, czy  
się to godzi? Ja kupiłam tę powieść, a wiadomo jak polskie  
książki są drogie i  
nie mam wiedzieć, co się z jedną z heroin stało? Proszę mi  
zaraz tę tajemnicę  
odkryć, lub mi połowę pieniędzy zwrócić.

JA.  
Lękam się panią zgorszyć.

CZYTELNICZKA.



To zbyt duża obawa. Ja się niczym nie gorszę, mama mi  
pozwoliła czytać Paul de  
Kocka, Faublasa, Dumasa i wszystkie co tylko zechcę.

JA.

Kiedy tak, to wiedz pani, że Aurelia Wiśniewska poszła za  
landrata, mieszka  
dotąd w Szubinie; jej dzieci po polsku nie umieją, a Czerski  
ich po swojemu  
ochrzcił.

CZYTELNICZKA.

A pfe!